

* TEZY *

PRZEDZIAŁOWE
Pokój tworzy

W powodzi książek, gazet i komunikatów, zalegających dziś biurko redakcyjne, dwie tylko pozycje dotyczą Niemiec. Jedną z nich jest krótki komunikat o wizycie w Polsce delegacji chłopów niemieckich — członków ulżiz centralnych organizacji chłopskiej w NRD. Druga — spora, prawie dwustronnicowa książka z okładką, przedstawiającą średniowiecznego rycerza w pełnym uzbrojeniu. Tytuł uzupełniający informuje, że jest to „Der Deutsche Soldat — Kalendarz” — „Niemiecki Kalendarz Żołnierski” na rok 1954.

Nie jest to pierwszy tego rodzaju wydawnictwo w Niemczech zachodnich. Choć nie minęło jeszcze pierwsze dziesięciolecie od kolejnej klęski militarystyki pruskiej, w zachodnich strefach okupacyjnych nie ma dnia, by propaganda odwieczna i rewizjonizm nie została zasłona nową książką, artykułem czy bodaj przemówieniem różnych dawnych lub obecnych dostojników i działaczy neo- czy staro hitlerowskich. „Kalendarz” więc nie stanowi czegoś wyjątkowego w produkcji wydawniczej Niemiec zachodnich. Wyróżnia się w niej jedynie „staranniejszym” doбором autorów i większym niż dotychczas skoncentrowaniem nienawiści do wszystkiego, co żywe, twórcze, pokojowe. Bo też kogo nie brak w tym almanachu zbrodniarzy: obok twórcy militarystyki pruskiej, Fryderyka II, burzyciela Warszawy i mordercy obywateli zakładników — feldmarszałek Kesselring, cudem (amerykańskim) uratowany od stryczka, w otoczeniu podobnych mu katołów i czego tu nie brak — od standardów niefortunnego wodza krzyżackiego spod Grunwaldu — Ulricha von Jungingen, do reżymu wspomnień ss-owskich. Ale najwięcej — uznania i gorących słów zachęty dla montowanej przez USA tzw. armii europejskiej, mającej dokonać tego, czego się nie powiodło autorom „Kalendarza”. Nie dziw więc, że w wydawnictwie tym zarezerwowano miejsce również i dla Polski. Faszysty z Niemiec zachodnich mogą nad nim podumać o „bohaterskiej” walce z „bandytami”, to jest z walczącą ludnością Warszawy, a czytając o polskich oddziałach podziemnych, żałować wraz z autorem, iż najłepiej byłoby bombami rozwalili tych ludzi.

Znamy ten język Jezuk, który w rzał odwieczne marzenia junkrów i kapitalistów. Tworzone uprzejmie i gorzko w latach pokoju — plany wojny.

Żyć, po raz pierwszy od dziesiątek i setek lat spokojnie słuchamy dołatującego do nas z zachodu dzikiego ujadania. Prosto i dumnie odpowiadają mu Tezy IX Plenum: „Polska przestała być krajem zafajnowym, obiektem eksploatacji ze strony kapitału zagranicznego, surowcowo — rolniczym zaplecem gospodarki państwa imperialistycznych”. I dalej mówią o wielkich osiągnięciach w dziedzinie rozwoju przemysłu obronnego, stanowiącego tarczę ochronną naszej codziennej, twórczej, pokojowej pracy.

Tak, to jest jedno źródło naszego spokoju. Ale mamy i inne. Wśród nich fakt, że te ujadania mają dziś do nas dłuższą i trudniejszą drogę. Bo po raz pierwszy w historii militarystom i rozbójnikom, szykującym się do nowych podobno na Wschodzie, stanęło na przeszkodzie inne od dawnych — państwo niemieckie: państwo ludzi pracy — robotników i chłopów. Oni to przegrali z tej części Niemiec obszarów i wielkich kapitalistów — i cierpliwie wypełniają ducha wojny, pogardy i nienawiści. To tu po raz pierwszy w Niemczech, dzieci ucą się prawdziwej historii naszego narodu, poznają jego pracę i walkę o wspólne, najważniejsze dla wszystkich ludzi na świecie rzeczy — o chleb i pokój. Uczą się tym chętniej, że i u nich w Niemieckiej Republice Demokratycznej naród prowadzi walkę o to samo. I że razem, Związek Radziecki, Polska, NRD i inne kraje demokracji ludowej, stanowią — jak to podkreślają Tezy — rosnący w siłę oboz socjalizmu i pokoju.

Pokój! Wielkie słowo. A ileż może znaczyć! W roku 1939 też mówiło się o pokoju. Tylko trudno było weni utwierdzić, gdy przez zachodnią granicę bezustannie napływali do Polski spieszcy i dywersanci; gdy jedyną naszą wymianą z Niemcami była wymiana polskich informacji politycznych i wojskowych — za prawo do eksploatacji sześciu tysięcy polskich chłopów „na Saksach”, za wogowanie niemieckiego potencjału zbrojeniowego polską pracę i polskimi towarami, gdy pokój stanowił tylko zaczerpnięcie oddechu do nowego napadu.

W ciągu szeregu dni zwiędła Polskę wieciecha działaczy niemieckiego ruchu chłopskiego. Przyjechała do nas, aby zobaczyć i porównać ze swoimi nasze zdobycze w dziedzinie rolnictwa, nasze urządzenia samopomocowe i instytucje kulturalno-oswiatowe. Wymienić z nami osiągnięcia w zaspokajaniu potrzeb i podwyższaniu stopy życiowej ludzkiej pracy. Bo u podstaw ustroju obu naszych krajów stoi przecież — człowiek!

Dlatego naszym obywatelom, zajętym budową nowego życia, potrzebny jest pokój. I dlatego nasza granica zachodnia przestała być granicą zawieszania broni, a stała się granicą pokoju. Pokoju twórczego — pokoju budowniczych.

ROBERT LEMOQUE

AMELIA CHCE BYĆ TAKŻE CZŁOWIEKIEM

Capetown, Południowa Afryka — w grudniu

Nie późna jesień — jak w Europie — ale trwa tu teraz wiosna. Wokół szosy, którą jedziemy, spalony skońcem step zielenieje nie śmiało. Tę samą barwę przyjmują zarośla — nim znów nie zżółkną. Przeglądam się ciekawie — przybysz z chłodnej Europy, zwiędający ten południowy skraj „Czarnego Kontynentu”, Unie Południowo-Afrykańską, kraj faszysty — premiera Malana.

Zatrzymujemy się przed grupą: jak je nazwać — baraków? — choć i ta nazwa przesadzona na korzyść. Budy, tak, blaszane brudne budy, sklecone z pogiętych zbiorników benzynowych, części starych karoserii samochodowych wyszluzonych i podziurawionych jak sito cystern. Łatwo sobie wyobrazić gorąco w ich wnętrzu, gdy słońce lejące żar z nieba rozgrzewa blachę jak piec. Tu mieszkają tubylcy — „kolorowi” — ciemnoskórzy mieszkańcy Unii. Stąd dzień w dzień część tych ludzi udaje się do odległego o kilkanaście kilometrów Capetown do pracy w fabrykach i porcie, część zaś podąga do okolicznych farm) białych kolonistów.

W Unii Południowo-Afrykańskiej 10 milionów prawdziwych Afrykańczyków — Murzynów i Hinduosów, zamieszkałych tam od bardzo dawna nie ma żadnych — lub prawie żadnych praw.

Prawo wyborcze do parlamentu, prawo pełnienia funkcji sądowych i administracyjnych, zajmowanie stanowisk wykwalifikowanych pracowników, wreszcie posiadanie ziemi na własność — przysługują jedynie białym, których jest tutaj nie więcej jak 2 miliony, a więc 20 proc. ogółu ludności. Faszystowska Partia Narodowoskrajowa, sprawująca rządy, dąży do wprowadzenia coraz ostrzejszego podziału między białymi „Afrykanderami” i kolorowymi — Afrykańczykami (których nazywa się pogardliwie „Keffirs”, „Coolies”, „Hotentots”). Podziału opartego na stałe rosnącej dyskryminacji tych ostatnich. W ten sposób premier rządu d. Malan i jego kompani z faszystowskiej partii drogą zwiększania nienawiści rasowej dążą do rozbięcia wszelkiej jedności białych i miejscowych robotników. Bowiem ta właśnie jedność robotników, jedność mas ludowych — dla panowania faszystów stanowi największą groźbę.

Zwiedzając Unię spotykam na każdym kroku objawy szyszanowania i gniebienia ludzi ciemnej skóry. Rodowitym Afrykańczykom zabroniono wstępu do kin i teatrów przeznaczonych dla ludności białej, a nie ma tam ani jednego teatru przeznaczanego dla nie-białych; zabroniono korzystania z bibliotek, wystaw, muzeów, restauracji i hotelów, z basenów kąpielowych przeznaczonych dla białych, a basenów dla kolorowych nie ma w ogóle, zabroniono uczęszczania na boiska sportowe, do parków publicznych itp. W wagonach kolejowych Afrykańczycy mają wydzielone nieliczne przedziały, a w domach nie mogą korzystać np. z wind osobowych.

W Pretorii i Johannesburgu, w Bloemfontein i Kimberley, w Durban, Port Elisabeth, w każdej zwiędanej miejscowości rzucali mi się w oczy duże napisy: „Dla nieeuropejczyków i psów wstęp wzbroniony”. Napisy — w rdzennie afrykańskim, murzyńskim kraju, napisy o tyle różniące się od hitlerowskich — „tylko dla Niemców”, że obejmujące zakazem i... psy.

Szczególnie dotkliwie i bolesne jest dla tubylców tzw. „prawo przepu-

stek”. Przewiduje ono, że każdy Afrykańczyk musi nosić przy sobie 12 dokumentów: przepustkę na opuszczenie miejsca zamieszkania (strefy przeznaczonej dla kolorowych), zezwolenie na zakupienie biletu na przejazd środkami komunikacyjnymi, zaświadczenie o opłaceniu wszystkich podatków, zezwolenie na poruszanie się po obszarach zamieszkania i parę jeszcze innych. Właściwie brak tylko zezwolenia „na życie”, życie, które staje się dla pradawnych mieszkańców kraju nieznosnym ciężarem.

Każdy kolorowy był w każdej chwili zatrzymany i zrewidowa-

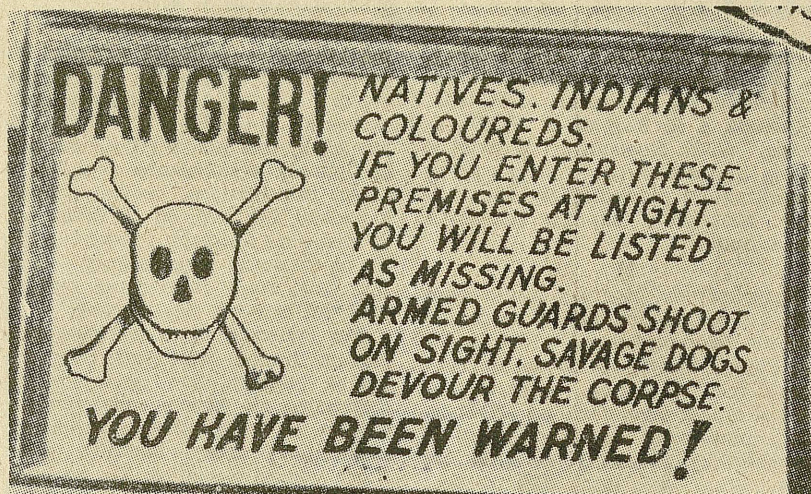
zorganizowanej przez jeden z uniwersytetów, było kilku kolorowych, przeuczelnian w Indiach i przybyłych na wakacje do kraju! Oburzony tym do żywego, senator oświadczył:

— Włosy stają dęba na mojej głowie, kiedy słyszę o takich wypadkach... Wtedy, kiedy „keffirzy” tańczyli z białymi studentkami, które by mogli zapewnić, że między nimi nie doszło do pocałunków.

Deputowany do Parlamentu mjr. P. W. A. Pieters, mówiąc o Afrykańczykach ujmuje to bardziej prosto i bez obłonek:

— Dajcie mi tylko karabin maszynowy i postawcie ich przede mną, a połowę wszystkich trupem tak szybko, jak będą przechodzić.

„Dzielną” major przeholował nieco. Zapomniał bowiem, że wystrze-



Takie tabliczki spotyka się w Unii na każdym kroku. A oto tłumaczenie napisu: „Uwaga! Tubylcy, hindusi i inni ludzie kolorowi, jeżeli wejdziecie tu nocą, znajdziecie się na liście nieboszczyków. Uzbrojona straż będzie do was strzelać, wszędzie psy otrzymają wasze ciała na pożarcie. Zostaliście ostrzeżeni!”

ny; najmniejsze „przewinienie”; brak jednego z dokumentów, nieprawidłowe przejście ulicy czy „arogantyczny wyraz twarzy” — są podstawą dla surowych wyroków sądowych. Toteż — jak wykazują oficjalne statystyki — niewielu tylko Afrykańczyków osiąga wiek 23 lat, nie będąc karanym.

Sam wyrok sądowy to już jednak fraszka w porównaniu z tym, co dzieje się za kulami oficjalnej sprawiedliwości. Opowiadano mi w Johannesburgu, że niedawno skopano tam na śmierć kolorowego, aresztowanego za to tylko, że odważył się „wyjść na ulicę ubrany tak jak europejczyk”. W innej miejscowości De Aar, 16-letni Afrykańczyk został po torturach zamordowany na posterunku policji.

Te przerażające w swej ohydzie metody nie wystarczają już faszystowskiemu władcom. Obecnie przed zbliżającym się zjazdem partii Malana, opracowuje się rezolucje żądające umieszczenia Hinduosów w specjalnych obozach (ghettach), zrównania plac Afrykańczyków zatrudnionych w przemyśle i w zakładach użyteczności publicznej z najniższymi placami otrzymywanymi przez kolorowych robotników na roli — chodzi bowiem o dostarczenie taniej siły roboczej właścicielom farm. Rezolucje domagają się zastosowania jeszcze ostrzejszych kar wobec tubylców „zlapanych” na obszarach zamieszkałych przez „europejczyków” po nastaniu zmroku, strzelania do nich bez ostrzeżenia. Nie brak nawet projektów zakazu posiadania psów. Widać, żeby psom umożliwić „wolny wstęp do lokali”.

W świetle tych żądań, jakże łagodna wydaje się wypowiedź senatora Unii — J. J. van Kensburga. Dowiedzieliśmy się, że na zabawie tanecznej ważnie Hinduosów, studiujących na

lawach wszystkich tubylców pozbawili swoje obszerne włóści nad brzegami Vaalu robotników do uprawy plantacji. Ale nie zapominają o tym władcy Unii. Wiedzą przecież dobrze, że tylko nisko płatna i niemal niewolnicza praca „kolorowych” przyniesie im może maksymalne zyski. Toteż wszelkimi siłami zwiększają oni poziom i nierówność rasową utrzymując tubylców w jak największej ciemności i nędzy, nie pozwalając im tworzyć organizacji.

Taka polityka wypełnia kieszenie... Jeśli obecnie pracownik biały zarabiał przeciętnie miesięcznie 47 funtów, dwa szylingi i 5 pensów — to kolorowy w tym samym okresie otrzymuje 3 funty, 11 szylingów i 9 pensów.

Tak jest w przemyśle. W rolnictwie stawki są jeszcze niższe. Normalny zarobek roczny robotnika na plantacjach ziemniaczanych w Natalu wynosi 24 funty, a na plantacjach warzywnych 20 funtów. I to za pracę trwającą co najmniej 12 godzin na dobę. Oznacza to, że rocznie zarabiał robotnik rolny, „kolorowy” rzecz jasna, połowę tego, co miesiecznie otrzymuje przeciętny, biały pracownik przemysłu.

Afrykańczycy nie mają prawa własności ziemi. Wolno im co najwyżej dzierżawić grunt od państwa. Ogólny obszar tych dzierżaw wynosi obecnie 13 proc. krajowego arealu uprawowego i stale się zmniejsza. 13 proc. dla 80 proc. ludności! Nie trzeba przy tym nawet dodawać, że kolorowi mogą gospodarować jedynie na najbardziej bezpłodnych i wyjątkowych gruntach.

Jasne, że ten potworny stan rzeczy budzi coraz silniejszy sprzeciw nie tylko Afrykańczyków, ale i bardziej uświadomionych białych robotników. Zdaje sobie z tego sprawę partia Malana. Toteż wydała ona dekret o zdelegalizowaniu partii

komunistycznej i walce z „działalnością komunistyczną”.

Dekret ten daje w ręce rządu dyktatorskie prawa. Na jego mocy władze mogą wydalić lub uwięzić każdego mieszkańca, rozwiązać każdą organizację, każde wydawnictwo, pozbawić każdego obywatela „jego praw „zagwarantowanych” konstytucją.

Aby tego dokonać wystarczy umieścić danego człowieka na specjalnej liście. Każdy, kto w ten sposób został posądzony o „działalność komunistyczną”, nie może się nigdzie odwołać i nie ma prawa do obrony. Toteż na listach tych znalazły się nazwiska wielu osób, dalekich od komunizmu, jak np. przewodniczącego Kongresu Hinduoskiego) w Natalu dr Naicker, czy Yusuf Cachilla, sekretarza Południowo-Afrykańskiego Kongresu Hinduoskiego).

Ale tak ten dekret, jak i najbrutalniejsze represje rządu Malana nie mogą złamać wzrastającego oporu mas i potężniejszej solidarności białych i kolorowych robotników, zarówno przemysłowych jak i rolnych. Nielegalna Partia Komunistyczna, Afrykański Kongres Narodowy, Południowo-Afrykański Kongres Hinduoski, Rada Akcji Wyzwolenczej — i wiele innych organizacji zadają już faszystowskiemu rządowi szereg dotkliwych ciosów.

Walka ludu wzmacnia się począwszy od 1 maja 1950 r., kiedy to wielki strajk sparaliżował życie Transvaalu. Wśród walk mieszkańców Witwatershosa z policją i strajków, a także wśród coraz częstszych manifestacji antyrządowych w Kraju Przylądkowym — rośnie siła postępowego ruchu w obronie pokoju, o wyzwolenie społeczne i narodowe.

*

Kilka dni temu w Prieska, niedużym miasteczku nad rzeką Oranje, miejscowi działacze postępowi zaprowadzili mnie na rozprawę sądową.

Oskarżoną była młoda 19-letnia Afrykanka — Amelia. Zbrodnia, którą jej zarzucano, było to, że od trzech lat pozostaje w związku małżeńskim z białym mężczyzną, ma z nim dziecko, spodziewa się drugiego. I — co gorsza — oboje różnoskórzy małżonkowie kochają się.

Sprawa nie trwała długo. Przekroczenie ustawy zabraniającej mieszanych małżeństw było wyraźne. Sędzia J. Boyers orzekł unieważnienie małżeństwa, a za utrzymywanie stosunków z białym człowiekiem skazał Amelię na karę więzienia.

Nie zapomnę długo widoku tej dziewczynki. Gdy usłyszała wyrok, przez chwilę nie potrafiła go zrozumieć. A później powoli uniosła ręce i zawołała drżącym głosem:

— Czy mnie nie wolno być człowiekiem?

Przerwał jej policjant, chwytając brutalnie za ramię.

W „Capland Times” z tegoż samego dnia dziwnym zbiegiem okoliczności od odpowiedzi na pytanie Amelii B. J. Shoman, senator i jeden z działaczy partii narodowoskrajowej Malana, były minister pracy. Napisał on: „Keffirs, to nie ludzie. Są oni przez samą Opatrzność przeznaczani, aby służyć białym. Tak będzie po wieki wieków”.

Ten sam senator w 1940 roku oświadczył, że państwo Hitlera przetrwa tysiąclata. Przepowiednia ta, jak wiadomo, nie sprawdziła się. Tak będzie i tym razem.

Robert Lemoque

- 1) Majątki, plantacje, obszarzenie.
- 2) Organizacje o charakterze politycznym, raczej prawniczym, skupiające dużą część hinduskiej ludności Unii Południowo-Afrykańskiej.
- 3) Podobnie.

Sprawy przyjaciół

NAUKA

Na konferencji człowiek przedstawiciel nauki rolniczej i praktyków rolniczych, prezes rady ministrów, Imre Nagy, omówił zadania, stojące przed rolnictwem w walce o szybkie podniesienie stopy życiowej. Szczególną uwagę poświęcił mowa łączności nauki z praktyką rolniczą. Węgierska nauka rolnicza sterdzieli Węgry — już przed wojną osiągnęła powa-żne wyniki. Węgry jednak były pod względem praktyki rolniczej jednym z najbardziej zacofanych krajów w Europie. Spowodowane to było ówczesnymi stosunkami produkcji, gdy napół feudalny ustrój uniemożliwiał wykorzystanie osiągnięć naukowych w praktyce.

W chwili obecnej sytuacja jest odwrotna: węgierska nauka rolnicza nie nadąża za zmieniającymi się stosunkami w rolnictwie. Nie dała ona dotąd odpowiedzi na szereg ważnych zagadnień, które codziennie wysuwa życie. Zdaniem węgierskiego premiera przedstawiciele nauki powinni opracować plan rozwoju rolnictwa i podwyższenia jego wydajności, a następnie bić się o należytą realizację tych planów. „Taka bojowa nauka — stwierdza Nagy — pobudzi produkcję i we właściwym czasie będzie w stanie sygnalizować powstające trudności”.

Brak inicjatywy ze strony nauki młoda powołał ściśle niedostatecznie rozwinięty system wymiany poglądów i dyskusji — one bowiem stanowią podstawowy czynnik wszelkiego postępu naukowego.

*

Rząd Bułgarskiej Republiki Ludowej przeznacza poważne sumy na rozwój prac naukowo-badawczych w dziedzinie rolnictwa. Obecnie w kraju znajduje się 70 rolniczych instytutów i stacji naukowo-badawczych, w których pracuje ok. 400 pracowników naukowych. W ostatnich latach utworzono szereg nowych instytutów, szczególnie ważnych dla gospodarki kraju, jak Centralny Instytut Uprawy Bawny, Centralny Instytut Wyrzynywania, Instytut Mechanizacji Rolnictwa, Instytut Hygieny i Melioracji. W wyniku prac uczonych bułgarskich wynodowano nowe odmiany pszenicy, bawełny, konopii, słonecznika i tytoniu, uzyskując znaczące zwiększenie ilości i jakości plonów. Obecnie przeprowadza się badania nad wprowadzeniem prawidłowej rejonizacji produkcji rolnej.

*

Funkcje koordynacyjne w stosunku do naukowych badań rolniczych sprawuje w Niemieckiej Republice Demokratycznej istniejąca od 2 lat Akademia Nauk Rolniczych. Obok rozwijania i popierania działalności naukowej, akademia prowadzi prace naukowe, popularizuje nowe osiągnięcia oraz organizuje konferencje i zjazdy naukowe. Jednym z głównych zadań Akademii jest studiowanie osiągnięć i wyników badań w rolnictwie i technice rolniczej w ZSRR oraz nawiązywanie łączności z odpowiednimi instytucjami naukowymi za granicą. Akademia Nauk Rolniczych posiada 9 sekcji, którym z kolei podlegają liczne instytuty, szczególnie ośrodki badawcze i instytuty naukowe. Obejmują one zagadnienia ekonomiczne rolnictwa, gleboznawstwa, nawożenia i uprawy ziemi, uprawy i ochrony roślin, techniki rolniczej, sadownictwa, przyrządów rolniczych, medycyny weterynaryjnej, leśnictwa oraz kultury rolniej i ochrony przyrody. Z rolniczych badań, prowadzonych obecnie przez naukowców, należy wymienić następujące: badania nad nowymi szczepionkami przeciw zarazom zwierzęcym, nad wyhodowaniem nowych, wydajniejszych gatunków roślin i zwierząt, jak również nad konstrukcją nowych maszyn i narzędzi rolniczych.

OSWIATA

Ustrój ludowo-demokratyczny otworzył przed wsia nieograniczone możliwości zdobywania oświaty. Począwszy od stałego rozwijania sieci szkolnictwa podstawowego (w Bułgarii, na przykład, nie ma już ani jednej wiejskiej szkoły, w której nie rozwijałoby się dostępnym synom i córkom chłopom średnie i wyższe uczelnie najrozmaitszych specjalności. W dziedzinie szkolnictwa rolniczego zwraca uwagę niezwykle wielkie zwiększenie wyższych zakładów naukowych. W 34 wyższych uczelniach rolniczych Chn kształcą się ponad 16 tysięcy przyszłych wysoko kwalifikowanych agronomów i mechaników rolniczych, inżynierów rolniczych, wyższych uczelniach rolniczych rolniczych zwiększyła się w ciągu 4 lat prawie dwukrotnie. Tysiące specjalistów opracowują corocznie 5 powstałych po wojnie wyższych szkół rolniczych. W Bułgarii średnie kadry specjalistów kształcą liczne techniki i szkoły rolnicze.

Poważne znaczenie w szybkim podnoszeniu kwalifikacji mają kursy rolnicze i szkoły specjalne. W 1950 trzyletnim szkoleniu, istniejących w Czechosłowacji spółdzielniach produkcyjnych, 50 tysięcy chłopów zdobywa w tej chwili wiadomości agro- i zootechniczne. W Bułgarii przekształcono rolnicze obozy ponad 300 tysięcy pracowników rolnictwa.

SZTUKA

W tych dniach wyjechał na występy gościnne do Chińskiej Republiki Ludowej ponad 200-osobowy Państwowy Zespół Sztuki Ludowej NRD, którego program zawiera zarówno ludowe, jak i rewolucyjne oraz współczesne pieśni i tańce, odniosł ostatnio szereg sukcesów w Niemczech zachodnich. Po drodze po Chinach występował będzie jego pierwszy występ za granicą.

Państwowy Zespół Sztuki Ludowej powstał w styczniu 1952 r. jednocześnie z Centralnym Zespołem Związków Zawodowych. Charakterem reprezentacji posiadają także zespoły Policji Ludowej oraz im. Ericha Weinerta. Jednakże sztuka ludowa pielegnowana jest nie tylko przez te 4 zespoły. Rozwija się ona przede wszystkim w 16 tysiącach grup i kolektów sztuki ludowej, obejmujących ok. 700 tys. uczestników. Obserwowany w ostatnich latach bujny rozwój amatorskiej twórczości artystycznej za dał cios różnym lansowanym dotąd w Niemczech teoriom, że ludowa artystyka na twórczość rzemieślniczą oraz ludowe pieśni i tańce należą już do przeszłości, że sztuki te nie tylko nie można rozwijać, ale w ogóle nie ma nawet mowy o jej utrzymaniu. Teorie te, mające poważne poparcie w tradycji drobnonie, szczańskich koleśkiewiczów i im podobnych zrzeszeń, szczególnie hamujące oddziaływały w pierwszym okresie powojennym. Przełom w tej dziedzinie stanowiły entuzjastycznie witane przez mas ludowe NRD występy szeregu zespołów ludowych pieśni i tańca z ZSRR i krajów demokracji ludowej. Od tego momentu rozpoczął się ponowny rozwój sztuki ludowej. Pierwszy Festiwal Niemieckiej Sztuki Ludowej, który odbył się w lipcu 1952 roku w Berlinie, był już przedgłosem osiągnięć tysięcy ludowych zespołów artystycznych. Wzięli w nim udział artyści ludowi ze wszystkich stron Niemiec, tancerze i pieśniarze ze Szwarcwaldu i Bawarii, tkacze z Meklemburgii, garncarze z Saksonii, rzeźbiarze, malarze i w. in.

Opiekę nad twórczością ludową sprawuje powstały w ub. roku Centralny Dom Sztuki Amatorskiej w Lipsku. Kieruje on twórczością amatorską pod względem ideologicznym — artystycznym oraz naukowo-metodycznym. Działalność terenowa prowadzona jest poprzez zorganizowane w poszczególnych powiatach gabinety sztuki amatorskiej. (K)

TOMASZ ATKINS

Sprawy międzynarodowe

Bilans na Bermudach

„Przyjeżdżajcie na Bermudy — wyspy wiecznie kąpiące się w słońcu, krainę zabaw i przyjemności!” Tego rodzaju ogłoszenia zachęcają do wyjazdu na Bermudy. Ale z pewnością nie dla zabawy i przyjemności, i nie po to, aby zająć kapiełi słonecznych wybrali się z początkiem grudnia na Bermudy prezydent USA — Eisenhower, premier Anglii — Churchill i premier Francji — Laniel. Ich wyjazd na Bermudy miał cel całkiem inny.

Pisała o tym prasa zachodnia na długo przed spotkaniem szefów trzech rządów. Pisała o tym szeroko i bez ogródek. A więc, że celem konferencji będzie próba znalezienia rozwiązania dla szeregu palących problemów, które wywołują tarcia w obozie atlantyckim. Np., że omawiany będzie problem stosunku państw zachodnich do Chin Ludowych i do pokojowych propozycji Rządu Demokratycznej Republiki Wietnamskiej.

Ze podjęta będzie próba rozwiązania sporu o Triest między Włochami i Jugosławią i sporu o Saar między Francją i Niemcami zachodnimi. Krótko mówiąc, Bermudy miały wyglądać ostre kanty w stosunkach między państwami obozu atlantyckiego, przy czym wygładzenie to miało nastąpić przez jeszcze większe podporządkowanie państwa atlantyckich dyktatów Stanów Zjednoczonych.

A jaki był rezultat spotkania na Bermudach noszącego znamie zmojwy? Ogłoszony po zakończeniu konferencji komunikat mówił tylko o jednej uzgodnionej sprawie — o zgodzie USA, Anglii i Francji na radziecką propozycję zwolnienia konferencji czterech w sprawie Niemiec. O innych zagadnieniach oficjalny komunikat nie wspominał. Ale czy to znaczy, że sprawy te nie stały w ogóle na porządku dziennym konferencji? Nie. Były one omawiane, ale jak z niezamierzoną ironią oświadczył sekretarz prasowy Eisenhowera: „uzgodniono tylko te sprawy, co do których nie było różnic między uczestnikami konferencji”.

Cała prasa światowa jest zgodna, że konferencja na Bermudach zawiodła w swoim podstawowym celu, nie rozwiązała sprzeczności, które dzielą oboz atlantycki.

Sprawa bowiem do której przywiązywano największą wagę na Bermudach, była sprawa „armii europejskiej”. W komentarzach przedkonferencyjnych wiele dzienników, zwłaszcza amerykańskich, zapowiadało otwarcie, że Stany Zjednoczone użyją wszystkich swoich wpływów i sposobów, aby zmusić Francję do rychłej ratyfikacji układu o „armii europejskiej”. Na samej zaś konferencji z delegacją francuską obchodzono się bezceremonialnie, jeśli nie powiedział obelżywie. Premierowi Laniel nie pozwolono po przyjeździe na Bermudy złożyć oświadczenia jakie przygotował on dla prasy. Również wbrew przyjętym zasadom nie odegrano na lotnisku hymnu francuskiego, chociaż odegrano państwowe hymny amerykański i angielski. Francja, jak wynika choćby już z samego jej traktowania, została wezwana na Bermudy nie jako partner,

ale jak podwładny, któremu wydaje się polecenia. Bermudy miały być dla delegacji francuskiej, tym, czym była wizyta w Berchtesgaden, dla delegacji czechosłowackiej w 1938 r. — podpisaniem własnego wyroku, zgodą na samobójstwo narodowe.

Pod tym względem zawiedli się organizatorzy konferencji na Bermudach. Mimo wywartego na nią nacisku delegacja francuska nie była w stanie podjąć żadnych konkretnych zobowiązań co do ratyfikacji układu o „armii europejskiej”. Premier Laniel, zaraz po przyjeździe na Bermudy, „dyplomatycznie” zachorował i nie był obecny na posiedzeniach, chociaż choroba nie miała, aż tak ciężkiego przebiegu, aby nie pozwolił mu na spacer po ogrodzie swojej rezydencji w towarzysztwie prasowych fotografów. Reprezentacja Francji złożona została na ministra spraw zagranicznych, Bidault, znanego zwolennika „armii europejskiej”. Eisenhower i Churchill — pisał korespondent amerykańskiej agencji „A. P.” — byli zdecydowani wywrzeć nacisk na Laniela tak dalece jak tylko będzie to możliwe... Jednakże nacisk nie dał wyniku ponieważ Bidault mógł jedynie wyjaśnić powody dla których Francja boi się odrodzenia potęgi niemieckiej”. Nie zmienia to „oczywistej fakt, że anglosaskie mocarstwa deklarują zgodę na berlińską konferencję czterech, jednocześnie zmniejszając się na Bermudach przeciwko pokojowej polityce krajów Obozu Pokoju.

Co sprawiło, że Stanom Zjednoczonym i Anglii nie udało się przerzować w pełni na Bermudach swojego punktu widzenia w sprawie „armii europejskiej”? Co sprawiło, że państwa zachodnie zamiast uszytnić swoje stanowisko wobec Związku Radzieckiego, musiały wyrazić zgodę na radziecką propozycję zwolnienia czterostronnej konferencji w sprawie Niemiec?

Odpowiedzi na te pytania nie znajdziemy na Bermudach, ale w zmieniającej się stale na korzyść obozu pokoju, na naszą korzyść, sytuacji międzynarodowej. W obliczu coraz bardziej nachalnych prób odrodzenia przez anglo-amerykański imperializm zaborczego militarystyki niemieckiej, we wszystkich środowiskach na zachodzie, a zwłaszcza we Francji, wzmacnia się kierunek dążący do zabezpieczenia pokoju w Europie poprzez porozumienie z sąsiadami Niemiec. Ta rosnąca siła zwolenników porozumienia między wszystkimi sąsiadami Niemiec skrepiowała swobodę ruchów delegacji francuskiej na Bermudach i przed tą siłą skapitulować musiały rządy USA, Anglii i Francji, wyrażając zgodę na radziecką propozycję rokowań w sprawie niemieckiej.

Coraz ostrzejsze i nie dające się rozwinąć sprzeczności w obozie państw atlantyckich, coraz szersza i wywierająca coraz większy wpływ na rozwój wydarzeń jedność sił pokojowych — oto bilans Bermudów z końcem 1953 roku.

Tomasz Atkins

NA podwórzu zaszczekał pies i Jan poruszył się niespokojnie.

— Kto tam? Zobacz — mruknął do żony i wpa-
trzył się piekącymi oczy-
ma w jasny prostokąt drzwi, pełen
osiepiającego blasku. Kobieta sta-
nęła w progu, uniosła rękę do czo-
ła.

— Nie ma nikogo. Coś taki nie-
swoi? Jakbyś co komu ukradł... —
powiedziała pół żartem, a pół gniew-
nie, bo już od kilku dni chodził taki
nastraszony i nasłuchujący. —
Sumienie masz czyste, to czego się
boisz? Przyjdą i pójda; do wszyst-
kich chodzą, nie tylko do ciebie.
Swoje robisz, młóćsz, a potem, to
już twój gospodarski rozum. — Pa-
trzyła na niego niby, uspokajająco,
a przecież wiedziała, że i jej te sa-
me myśli chodzą po głowie. Krzą-
tała się jeszcze przed jej niezawy-
czaj, jakby dla odpedzenia tych my-
śli.

— Jaskiel wiało rower? — zapy-
tała Jan, przegarniając palcami żół-
te, ciężkie ziarna.

— Wziął — odburknęła, nie pa-
trząc na niego.

— Do gminy pojechał, co?

— Nie odpowiedziała, schylona nad

RÓŻA OSTROWSKA

ZIARNA KTÓRE WZEJDA

(OPOWIADANIE)

— Musimy wiedzieć. Na chleb się
szykujemy — wtrącił ten drugi —
czekamy na chleb od was, towarzy-
szu Czereda.

Słońce schyliło się za topolę, ros-
nącą przy bramie, słabiej i chłod-
niej przeswiecając teraz przez rzad-
kie już liście.

— Dużoby gadać — powiedział
wreszcie Czereda, ociągając się ze
słowami, jakby mu przychodziły z
trudnością, — co będę miał, to od-
stawie.

Myśl o Gojce przeszkadzała mu
słuchać tego, co mówili tamci. Ich
słowa i jego myśli szły innym to-
rem. Drgnął, kiedy delegat z po-
wiatu wymówił słowo: syn.

— Wasz najstarszy kończy już
szkołę w Pucku, słyszałem. Dopra-
cowaliście się dla niego pięknej
przyszłości. Nie bez wyrzeczeń, jas-
ne. Macie jeszcze dwoje młodszych,
tak?

Czereda kiwnął głową. Rozgnia-
tał niedopalonego papierosa w pal-
cach.

Ręce Gojki drgnęły, jakby mia-
ły poderwać się do uderzenia. Ale
to był ułamek sekundy. Przez jego
urodzoną twarz przemknął uśmiech
ni to drwiny, ni wyrozumiałości.

— Niech ojciec nie krzyczy —
powiedział cicho, ale dobitnie — o-
jciec wie, że ja o Anki grosze nie
wojuję. A komisja chodzi do wszyst-
kich, co przetrzymują zboże i nie
odstawiają. Ojciec to dobrze wie.
Ojcu te grosze przesłoniły świat, że
już ojciec zapomniał, kto wróg, a
kto przyjaciel.

— Może ty przyjaciel, co? — syknę-
ła Czereda, przysuwając się jesz-
cze bliżej — sołtys bez portek, co?
Córke po stogach ciągał, aż trzeba
było do ołtarza prowadzić. Na twoją
zasmarkaną biedę oddać. Ty... —
zachłystnął się, dawny, zaschły już
ból rozszarpując na nowo.

Gojka postawił nogę na pedale.
Twarz mu drgała.

— Wstyd! — powiedział ochryple
— wstyd! Opętali was! Ale ja wiem,
kto was opętał. — Nagle podniósł
głos, krzyknął prawie:

— Z drogi, bo rozjadę!

Czereda cofnął się, zaskoczony.
Gojka ruszył szybko, nie odwraca-
jąc się.

Wiatr przeleciał po drzewach, na
drogę spłynęły się liście czerwone
i żółte. Powiało chłodem, nagle za-
padającym zmierzchem. Jan Cze-
reda stał bez ruchu. Gniew opadł na-
głe, pozostawiając niepokój i rozza-
lenie. Powoli ruszył drogą przed
siebie, jakby zapomniał o pozosta-
wionym domu, o porzuconej pracy,
o wszystkim.

Myślał ciężko, chaotycznie. Całe
życie zmagał się z biedą, całe życie
orał jak wół na swoim drobnym ka-
wałku ziemi. Dwoje najstarszych
chowało się w tej biedzie i niedo-
statku, bez nadziei na lepsze jutro.
Całe życie przywykł z zadręczenia i
głodem w oczach patrzeć na tych,
co mieli dość ziemi i chleba. Kiedy
mu się odmiennie, kiedy po wojnie
osiadł tu na porządek gospodarce,
powiedział sobie: koniec z pustymi
garstkami, koniec z dziadownianiem.

Pracował za dziesięciu. Państwo
mu pomogło, on przyjął to jak na-
leżną sobie nagrodę — za lata po-
niewierki, za łązy żony i miżerotę
dzieciaków. Nie wdawał się w roz-
ważanie, kto komu i co był winien.
Miał swoją ziemię, swoją stodołę,
którą skrzętnie co rok napelniał
szumiącym bogactwem, co dawało
chleb i spokojną przyszłość. Wyci-
snęte z potu i ziemi złotówki rozli-
czał skrzętnie: to na ubranie, to na
książki dla dzieci, to na remont bu-
dynków i narzędzia, to na nawozy.
Powoli zasnawał dostatkiem. W skrzy-
ni rosło wiano najstarszej córki,
Anki. Już wtedy zaczął Czereda
garnąć się do tych, co mieli lepiej
od niego. Jakby odsuwaniem się od
biedoty chciał zerwać ostatnie wię-
zy wspomnień, łączących go z prze-
szłością. Nie mógł jednak zapom-
nieć. Drżał zawsze przed widmem
biedy, zawsze niedosyć pewny swe-
go losu. Poprzysiągł sobie zapewnić
dzieciom dobre życie, nie pozwolił
im nigdy znać niedostatku. Pa-
trzył z dumą na Ankę, roześmianą,
jasną dziewczynę. Chodziła piękn-
niejszą i niegorzej ubraną, niż córka
niejednego bogacza. I wtedy
właśnie pojawił się Gojka. Paro-
morgowy wyskok — myślał o
nim Czereda. Anka przepadała na
całe wieczory... Czereda odrząsał
się. Ale ból rósł, szarpał wspomnie-

Ilustrował M. WALENTYNOWICZ

niem. Anka poszła z domu — na tę
samą drogę, w jakiej wyrosła — tak
myślał. Domek miżerny, pustki w
obejściu, mąż golec i pyskacz. W
rozpaczy i gniewie zerwał wtedy z
córką wszystkie stosunki. W rok
potem Gojka został sołtysiem. Ale
to pogłębiło tylko nienawiść Jana
Czeredy. W tym czasie bowiem jego
przyjaźń z Feliksem Ryske była już
jawną i obowiązującą.

Po stracie Anki cała troska Cze-
redy przeniosła się na dorastające-
go syna, Jaskia. Jaskiel jeździł do
Pucka, do szkoły zawodowej. Ale
Czeredy nie uspokajał fakt zapew-
nienia synowi zawodu i pracy w
mieście. Chciał dla niego pewniej-
szego, zabezpieczonego życia. A cóż
mogło je lepiej zabezpieczyć, jak nie
ziemia — jedyne w oczach Czeredy,
niezawodne oparcie. Tej ziemi pięk-
ny kawał otrzymać miała w posa-
gu jedyna córka Feliksa Ryske.

Do Feliksa Ryske pociągało Cze-
redę wiele — i wzorowe duże gos-
podarstwo tamtego i jego pracow-
ność, oszczędność, spryt, umiejęt-
ność gospodarskiego przewidywa-
nia. A przede wszystkim — jego
dostatnie nie od wczoraj życie, tra-
dycje sytości i zamożności tej ro-
dliny od kilku pokoleń. Powoli Ry-
ske przywiązał do siebie Czeredę, a
opłatał go delikatną siecią swoich
półbłędnych, półzartów, zamknął go
w kręgu swoich sceptycznych u-
wag, swojej ostrożnej, ociągającej
się taktyki wobec wszystkich now-
ego, które działało się we wsi.



Czeredy, jego chleb, jego przys-
łość.

Czereda zadyszał się i przysta-
nął.

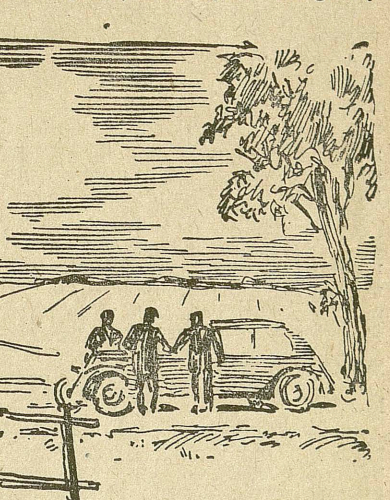
Oto wioska przed nim, zapadła
wśród drzew, cicha już o tej porze
i zdawałoby się spokojna. Ale Cze-
reda czuł, że ta cisza jest tylko po-
zorna, że wewnątrz, od domu do
domu, od okna do okna, chodzi ten
sam niepokój, co jątrzy jego w tej
chwili. Przeciw komu szedł tak o-
zmroku, jesienną drogą? Zdecydo-
wanym krokiem ruszył ku wsi. Za
chwilę wchodził na ganek gminy.
Dwa okna świeciły ostro w mroku
ogrodu. Zza okien doleciał mu gwar
zmieszanych, gorących głosów. Cze-
reda zaważał się w ciemnej sionce,
ale wahanie trwało tylko chwilę.
Przez drzwi usłyszał bowiem głos,
który doleciał na niego, jak smag-
nięcie biczem. Był to głos Feliksa

i drobnego człowieka za jego ple-
cami.

— Obywatel Ryske dawno bun-
tuje ludzi przeciw akcji dostaw —
głos jego drżał od powściąganego
wzburzenia, — przeciągnął już na
swoją stronę niejednego. Tu obecny
obywatel Czereda...

— Mnie w to nie mieszaj — krzyk-
nął Czereda ostro. Gojka umilkł na
chwilę, jakby walczył ze sobą. Pod-
jął inaczej:

— Będę krótko gadał. Obywatel
Ryske ma zboża dość. Każdy wie,
jakie to gospodarstwo. Urodzaj był
taki sam w całej gromadzie. Wiele
biedniejszych dawno odstawiło wszy-
stko. Ale Ryske złożył podanie o
ulgę. Pewnie, niech mu państwo
coś spuści, biedniejsi za niego będą



robić... On nie ma zboża. Za to je-
go szwagier bogaty — głos Gojki
nasionął gorczyca — jego szwagier
wczoraj był na rynku w Wejhero-
wie i sprzedawał zboże. Niedrogo
sprzedawał, uczeiwe — wóz zboża
w mąg rozebrali...

— Jego zboże, ma prawo sprze-
dawać, czy nie? — krzyknął Ryske.
W gardle mu coś bulgotało. Prze-
wodniczący zastukał ołówkiem w
stół. Drobnego człowieka za plecami
Feliksa Ryske zdawał się kur-
czyć i maleć.

— Ale, jego zboże. Z tego jedne-
go hektara, co go u ciebie dzierża-
wi — huknął Gojka.

— Proszę o spokój, obywatelu —
przerwał przewodniczący — głos
ma obywatel Liszka.

Liszka rozrucił beznadziejnie ręce.
— Czyżby zboże sprzedawaliście
wczoraj w Wejherowie — zapytał
powoli przewodniczący.

Ryske popchnął lekko szwagra,
aż się ten zatoczył. Milczał chwilę,
zanim wyjął:

— Moje sprzedawałem, przecie.
— Cały wóz? Z tego jednego hek-
tara? Tak wam obrodziło? — sy-
knął Gojka. Przewodniczący znów
uderzył w stół — tym razem pię-
ścią.

Liszka milczał.

— Gadażcie — krzyknął Ryske —
czego się boisz? Wolność jest czy
jej nie ma?

Liszka milczał. Działo się z nim
coś dziwnego. Drobną, zastrachaną
twarz kurczyła się, drgała, ręce
splatały i rozplatały.

— Odpowiadacie przed gromadą
— surowo powiedział przewodniczą-
cy.

— Mnie odpowiedzicie. Takiemu
samemu bogaczowi jak wy — wy-
krzyknął znów Gojka.

Liszka skurczył się jeszcze bar-
dziej. W nagłej ciszy padły jego
wątłe, jakby, mizerne słowa:

— Sprzedawałem szwagra. Po-
trzebało pieniędzy na wesele.

Westchnął głęboko i stał — już
spokojny.

— Łezę — syknął Ryske i przy-
skoczył do Liszki z pięściami.

— Wolnego — Gojka chwycił go
za ramiona. Przewodniczący zer-
wał się, skoczył na nogi sekretarza.

— Obywatelu, dość tego Spokój.
Ryske opuścił ręce, cofnął się.
Szczęki mu chłodziły.

— Na jakie wesele? — cicho za-
pytał Gojka. — Na jakie wesele? —
powtórzył głośniej.

Liszka strzelił się, znów zaleknio-
ny.

— No, na wesele. Córke wydaje
za Samulewskiego z Wejherowa.
Tego, co miał restaurację przy
dworcu — wyjął.

*

Czereda wracał do domu późnym
wieczorem, tak późnym, jak to mu
się nie zdarzało od wielu miesięcy.
Noc była ciepła, gwiaździsta, jakby
letnia. Płynął z niej ogromny spokój,
łagodny i kojący, kładł się na
serce, z którego spadł nagle cały
ciężar.

Skąd brał się ten spokój? Trud-
no powiedzieć tak, jak trudno od-
czytać wszystko, co się dzieje we
własnej duszy.

— Przegrałem — myślał Czereda,
ale mimo to czuł się tak, jakby wy-
grał. Jakby ta miękka, piaszczysta
droga wśród nocy była oddawna za-
gubioną, dziś wreszcie, teraz od-
nalezioną drogą.

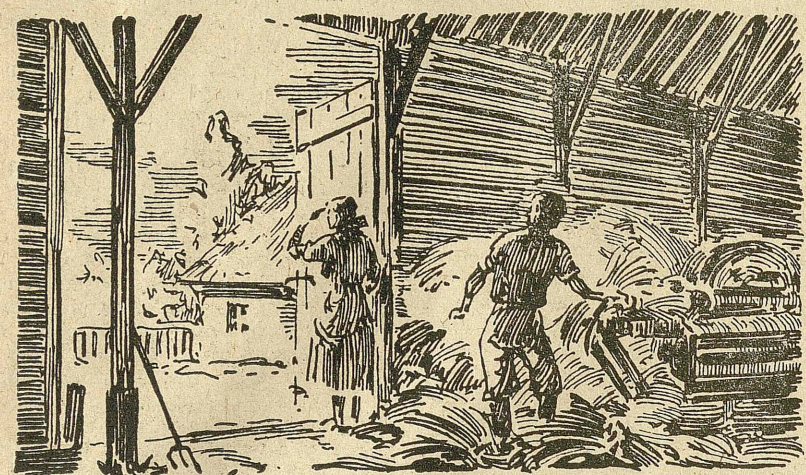
Wciążną głęboko świeżo-wilgot-
ne powietrze. Ziemia pachniała.
Ziemia, którą przez całe życie prze-
rabiał spracowanymi rękami, by
chciała wydać ciężkie, złote ziarno.
Wiedział, ile trzeba w nią włożyć
trudu i wyrzeczeń, żeby zebrać
plon. Żeby rozdziła chętniej, więcej,
bogato — na spokojną i pewną
przyszłość.

Gwiazdy migotały błado i przy-
jaźnie. Jakież to myśli szukał, słuch-
jąc szeptał jesiennego nocy?

— Czekały na chleb od was, to-
warzyszu Czereda — tak powie-
dzieć mężczyzna w granatowej je-
sionce.

Jan Czereda zacisnął palce. Za-
teknęły do przerwanej pracy, do
rozsypanego po klepsku świeżego,
ciężkiego ziarna. Spojrzał na niebo.
Wróżyło pogodę.

Róża Ostrowska



klepskiem. Jan zaklął cicho. Bra-
ła stronę syna, tym milczeniem
przywalała jakby na jego postępo-
wanie. A zdawało się, że jak jej
tłumaczył — rozumie, Takie, to i
rozumienie.

Narastała w nim złość i poczucie
osamotnienia.

— No, dosyć — krzyknął nagle
na Stefka, który — jakby mu mało
było zmęczenia, zabawił się jakimś
gminastym na potężnych bełkach
poa sułtem. — Dalej, do roboty!

Stefek kopnął się co żywo na po-
dwórce. Po arodcie kłepnął konia po
szy, kłasnął batem. Młanek skrzy-
nął, ruszył. Ogłuszający stukot pod-
nosił się na nowo, na nowo wno-
wac począł gęsty pył. Jan zaczął
chwytać ciężkie snopy, rozrzucał
jednym ruchem na stole, podsuwał
w zęby maszynę; tym razem nie
usłyszał nawet szaszkania psa. Spo-
strzegł się dopiero, gdy kilka ob-
cych głosów zabrzmiało na podwór-
zu i rozwarcie drzwi przerosło cien-
ką postać. Przez chwilę — roz-
myslnie — nie przerywał pracy.

— Dzień dobry — krzyknął jakiś
nieznany mu głos. Wtedy dopiero,
nie spiesząc się wszedł w krag
świąta, na spotkanie przybył.

Było ich trzech. W nagłej ciszy
stali trochę zakłopotani. Wyśoki
mężczyzna w skórzanym kurtce usi-
miał się przyjaźnie.

— Wy jesteście Jan Czereda? —
wyciągnął rękę. — Galsuz jestem,
z Komitetu Powiatowego. Przerwa-
liśmy wam pracę.

Jan podał mu rękę, — spojrze-
niem przeleciał po drugim w gra-
natowej jesionce. Nie znał go. Ale
już doszłszy trzeciego i — jak zawa-
sze — krew w nim zawrzała. Oczy
spotkały się chłodnym wzrokiem
Michała Gojki, sołtysa.

— Proszę do domu, co tak będzie-
my stać — powiedział spokojnie,
tłumiąc wzburzenie. Pierwszy wy-
szedł na zalane słońcem podwórce,
odetchnął głęboko. Gojka nie ru-
szył się z miejsca, świdrując go
oczami, ale obaj przyjezdni wyszli
za Janem. Delegat z powiatu za-
trzymał go ruchem ręki.

— Nie będziemy wam zabierać
dużo czasu. Chwilę chcieliśmy po-
rozmawiać z wami. Przysiadł na
stosie desek, wyjął pudełko. Jan
skinął głową, w milczeniu wziął
papierosa.

— Ładne macie budki — zau-
ważył ten drugi. Miał otwartą, ru-
mianą twarz i mocne uważne spoj-
rzenie. — Mówią o was, żeście
pierwszorzędny gospodarz — u-
śmiechnął się zyczliwie — no to i
z odstawą chyba dobrze będzie, co?

Podsunął Janowi zapalnik, osła-
niając ją dłoń, silną i spracowa-
ną.

Jan długo zapalał, unikając przy-
jajnych spojrzeń. Za plecami czuł
obecność Gojki, czuł na plecach
wzrok tamtego, chłodny, nieugięty.
Stara złość podchodziła do gardła,
opancerzała lodem przed ciepłą ży-
czością przyjezdnych.

— A wy tak od razu, do intere-
su? — powiedział powoli, cierpko.
Delegat z powiatu zaśmiał się
głośno. Miał bardzo białe zęby w
młodej, choć zmęczonej twarzy.
Przytaknął głową.

— Pewnie, że do interesu. Po to
tu przyszliśmy. Obgadać nasz wspólny,
najważniejszy interes. Przy-
jechalismy z miastem, do roboty i wam
też nie chcemy przeszkadzać w ro-
bocie. Chodzi o to, że zalegacie z od-
stawą. Prawda? Więc chcemy,
żebyście powiedzieli: dlaczego? —
wciąż się uśmiechał — Przecież wy-
miar macie nie za duży; gospodarz
z was tegi, urodzaj u was był ni-
czego, sobie... to jakże tak?

— Jak to wszystko wiecie, —
mruknął Czereda uragownie — na-
wet o tym urodzaju...

— To dla nich jeszcze się trzeba
potrudzić. I ja mam dzieci w szko-
le. Odpłaci się wam stokrotnie, już
się odplaca — i wy wiecie to tak sa-
mo dobrze, jak ja — pochylił się
ku Janowi. Mówił cicho, gorąco,
serdecznie.

Człowiek w granatowej jesionce
podszedł do niego blisko.

— Pracuję w Bolszewie, w ce-
mentowni — powiedział — jestem
robotnikiem, nie znam się na
rolniczych sprawach. Powiem wam
tyle: od was, oświadczył od was,
towarzyszu Czereda zależy te-
raz wszystko. Każdy z nas,
z moich kolegów, to samo wam
powie. My nie jeden raz ma-
my trudności z wykonaniem planu.
Ale — zamachnął się — usuwamy
je z drogi, ot, tak. Mam wam tłum-
aczyć, dlaczego to robimy?

Wpatrzył się w twarz Czeredy.
Blask jego oczu powoli wygasł,
jakby ochłodziło go milczenie chło-
pa. Jego towarzyszy podniósł się,
obciągnął na siebie skórzaną kurtkę.
W sposobie trzymania ramion wy-
czuć można było zmęczenie.

— No, to jak będzie? — zapytał,
wyciągając rękę do Czeredy — kie-
dy odstawicie zboże?

Jan odwrócił się gwałtownie,
spotkał wzrok Gojki. Młody sołtys
patrzył na niego jakby drwiąco.
Jan ujął bez pośpiechu podaną so-
bie dłoń.

— Przecie młóćce jeszcze — od-
parł niechętnie — nie mam tak
bardzo z kim robić. U mnie nie fa-
bryka.

Dojrzał w twarzy Gojki zniecier-
pliwienie, więc dodał jeszcze z prze-
kąsem:

— U nas we wsi są tacy, co ty-
lko by spacerowali po cudzych pod-
wórkach, choć portek całych nie
mają. U mnie roboty od świtu do
nocy dosyć. Cudzego nie ciekawym.
Obaj zegnali się powoli, jakby
zawiedzeni. Czereda nie odprowa-
dził ich do bramy. Nie odpowiedział
na sołtysowe dość harde „dowied-
nia”. Patrzył za odchodzącymi, aż
znikli za topolą, gdzie droga skręca-
ła na lewo, głębiej w wieś. Wtedy
odwrócił się, krzyknął na Stefka:

— Czego się gapisz? Idź, pomóż
matce sprzątać — i ciężkimi krokami
ruszył ku ścieżce idącej ukosem
przez pole do szosy. Pchała go złość
i wzburzenie, które kipiało w nim,
dławiło gardło. Za gęstą osłoną
krzaków przy drodze przystanął i
wyjrzał ostrożnie.

Tak, jak przypuszczał — sołtys
Gojka zegnął się z przyjezdnymi
na zbiegu drogi i szosy. Wsiadali do
zakurzonej, zielonej „Skody”. Wóz
ruszył, po chwili rozpylił się w
dalekiej wstążce szosy. Czereda
czekał. Gojka nie zawrócił ku swo-
jej zagrodzie, tylko szedł powoli z
powrotem, prowadząc swój wysłu-
żony rower. Skręcał papierosa.

— Do gminy pojeżdż — przemknę-
ło Janowi przez głowę. Chwilę cze-
kał jeszcze, aż dojrzał zbliska tę
niecierpiącą czerniawą twarz o
wąskich wargach i chłodnym spoj-
rzeniu. Wtedy wyszedł na drogę i
zatrzymał się przed nadchodzącym.
Gojka drgnął.

— Ja tobie już nieraz zapowiada-
łem, trzymaj się z daleka od mego
domu, — krzyknął Czereda, zacis-
nawszy pięści — swoim sołtysiem
możesz gdzie indziej świecić. Ode
mnie wara, żebyś nie usłyszał: po-
szedł won.

Gojka patrzył mu spokojnie w
oczy, tylko silniej objawiały dłońmi
kierownicę roweru. W ustach trzy-
mał niezapalony papierosa.

— Młóćsz się za to, że córka gro-
sza nie dostata. Komisje na mnie
naprowadzasz. Żeby pokazać, — pa-
trzy, to Czereda stoi po tamtej
stronie. On wróg! — Ty, donosi-
sien!

JOZEF LENART

DO STANISŁAWA S.

Styczeń mi mroź.
Rok: czterdzięści sześć.
Na plecach — lachman przetarty.
Gorączka...

Pod wiatr trzeba ją nieść
I przed oczami — plamy barwne.

Tego wam nie zapomnę, panie Stanisławie:

Pamiętam ból krzywd doznanych
I owe trzy mile drogi
W śnieżnej kurzwie
Za lata służby i zdrowie sterane.

Poszedłem w świat
Precz przepędzony:
Cóż znaczy parobek,
Gdy mu płuca przeżera gruźlica?!
Dotąd obnoszę serce nieuspokojone,
Jak obnosiem dzieckoństwo
Po zimowych ulicach.

Sporo lat upłynęło,
Nielatwych
I tylko pamięć spraw tamtych
Jest do was pomostem.
Obdzilił mnie ludzie
Chlebem i światłem,
Obdzilił mnie sercem —
Na człowieka wyrosłem.

I oto list do was piszę, gospodarzu...
Pamiętam — pod oknem
Kaźdę wiosny rozkwiecał się bez:
Tam siadywałeś
Z „równymi sobie” pogwarzyć —
Tam się rodziła nienawiść moja
I gniew.

Sporo lat upłynęło:
Rok pięćdziesiąt trzy...
Wróciłem z pracy
I piszę ten wiersz:
Wiem
Za co historia naszych dni
Waszą klasę skazała na śmierć.

1953 r.

TADEUSZ SZEWEERA

POCZĄTEK SPRAWY

(Fragment opowiadania)

O kpa pokoju, w którym urzędował przewodniczący Jawor, wychodził na nieduży plac. Dwoma półkami otaczały go domy Lyszkowa, rozzerwane wlotem traktu wiodącego do wioski Maziska.

Jawor urzędowanie rozpoczynał zazwyczaj od czytania „Dziennika”. Zaglądał się w obitym pluszem fotelu, który zawędrował do gminy po parcelacji dworu, zapalał papierosa i czytał.

Rozpoczął od sportu, potem przerosł się w gąszcz komunikatów PAP-u, żeby być zorientowanym w sytuacji międzynarodowej, następnie studiował ogłoszenia, pilnie śledził komunikaty o stanie pogody i wreszcie zaglądał do wnętrza gazety, gdzie czasem znajdował ciekawe dla siebie reportaże z terenu.

Tym razem odbyłoby się wszystko równie według ustalonego porządku, gdyby nie bruchate literatury tytułu, który panoszył się na pierwszej stronie obok komunikatów PAP, żeby być zorientowanymi odcach zakuło.

„Gdzie jest Gminna Rada z Lyszkowa?”

Jakby kto siłą wcisnął Jawora w pluszowy, podworski fotel. Chłop był niedużego wzrostu, ale teraz zmalał jeszcze bardziej. Zaczęli się po uszy i ryknął tak nieludzkim głosem — Lotry! — że rozległ się echem po całym budynku rady. W drzwiach ukazała się wystraszona twarz sekretarza Podliska.

— Czytaj! — wykrztusił Jawor. Sekretarz Podlisk bezszelestnie poruszał wargami.

— Głośno — ryknął Jawor.

Sekretarz odchrząknął. — „Gminna Rada Narodowa w Lyszkowie, a szczególnie przewodniczący prezydium ob. Jawor, nie interesują się sprawami gminy. Na przykład, spółdzielnia produkcyjna w Maziskach przygotowuje manifestację odtawę zboża, do akcji tej włączają się chłopcy indywidualni. Ale GRN nie robi, by w tej akcji pomóc. Przeciwnie: utrudnia pracę przez tolerancję stosunek do bogaczy, takich jak Ograbek czy Byczkowski, którzy mimo zakończenia u siebie omłotów, do tej chwili jeszcze zboża nie ostawili!”

Podlisk zrobił znaczącą przerwę, a potem z lekkim odcieniem zadowolenia w głosie przeczytał podpis — Soltys gromady Maziska, Szymon Pilarz.

Jawor pienieł się. Wyskoczył z fotela i biegł do pokoju.

— Lotry! — wymachiwał rękami. Podlisk wodził za nim oczyma, w których malowała się bezradność.

— Czego się gapisz! — zachrypiał Jawor, przystając przed nim. Mo-

toczył. Dawaj mi natychmiast motocykl.

*

Przez Maziska Jawor jechał wolno, obmyślał plan działania. Widać było, że przed domem Wojciecha Osina zatrzymał się. Osin wypręgał konia, wrócił dopiero co ze Skierniewic. Był z Magdą, swoją żoną, na jarmarku.

— Ładna klacz. Dobrze ją trzymacie — powiedział Jawor i zerknął ku otwartej stodole. Na klepisku leżało kilka snopków.

— Będziecie młócić? — dorzucił.

Osin przytaknął.

— Maszyny wam nie dali! — powiedział domyślnie Jawor. Skórzaną cyklistówkę zsunął na tył głowy.

— Ze spółdzielcy, to już samodzielnym gospodarzom nie widzą.

— Chcieli dać nawet. Ale dzisiaj młóć u siebie. Odstawy na karku.

— Wy na chleb, czy odstawę?

— Ano, chciałoby się oddać jak najprędzej — odparł Osin.

— Ja tu właśnie po tej linii, do was — uśmiechnął się Jawor. — Najwyższa pora by wam już była!

— Przecież się nie opieram jak Ograbek! — z oburzeniem mruknął Osin. Jawor zbył tę uwagę milczeniem, natomiast niby obojętnie spytał:

— Nie spieszo wam do spółdzielni?

Drapiąc się po kudłatyh łbie, Osin niechętnie odpowiedział.

— Ano, gospodarka niebrzydka. To i po co się spieszyć. Dopiero rok gospodarza. Trudno się zorientować, czy to lepiej, czy gorzej.

Osin nie miał wiele ziemi, zaledwie osiem mórg, ale z tej ziemi starał się wydobyć wszystko. Obejście tej utrzymywał we wzorowym porządku. Było czyste, zamiecione, gnojownik obłożony pobielonymi kamieniami. Strzecha na chalupie starannie polatana, obórka utkana mchem, chlew zbity z mocnych desek.

— Niebrzydka! — potwierdził Jawor i naraz spytał. — Czytaliście dzisiejszą gazetę? Soltys natłuje na mnie! Widzicie, że jedzą od wsi do wsi, od chłupy do chłupy, namawiam ludzi, żeby odstawali zboże, a taki lotr pisze, że nie nie robię!

Osin milcząc pokręcił głową. Jawor poufałe wziął go pod ramię i szepnął:

— Pilarz pisze, że z bogaczami trzymam. A ja mu pokażę, jak ja popieram kulaków. Jutro obaj, Ograbek i Byczkowski, odwieżą zboże na punkt skupu. Namówiłem ich o-

sobiście, cholera trafi soltysa, jak to zobaczy! — zaśmiał się. — A co wy na to?

— Co ja wiem — mruknął niechętnie Osin.

— Wście, Osin. Dużo wście! Moglibyście tak napisać do gazety, że GRN organizuje odstawy, że troszczy się o chłopów... Was szanują w Maziskach, zebrałbyście innych chłopów i tak razem napisali...

— Ja tam nie wiem — wykręcał się Osin. — Ja się nie nadaję.

Jawor nacisnął czapkę, założył ochronne okulary. Był znowu zły.

— To znaczy, że i wy też jesteście wrogo ustosunkowani do władzy ludowej. Wszyscy wy tu jednacy! — krzyknął. Szybkim krokiem przeszedł przez podwórko. Osin podreptał za nim do furtki.

*

Wieczorem zajął do Osina soltys Pilarz. Zastał go jeszcze przy młocie. Klepisko stodoly oświetlała stajenna lampa, kołysząca się u wrotni. Osin gniewnie spojrzał na soltysa, rekawem koszułi przetarł spoczoną twarz.

— Znowu przyszłeś namawiać do tej waszej wspólnoty! — warknął nieprzyjaźnie.

— Co wam? — zdziwił się Pilarz. — Będziecie mieli ochotę, przyjdziecie. Do spółdzielni nikt nikogo siłą nie ciągnie! Soltys umilkł i zacerpaną garścią trochę zmłotów. Przesypywał je z dłoni na dłoń i wydymuchał plewy.

— Ładne ziarno — pochwalił.

Osin odwrócił się.

— Ano, co roku idzie na lepsze. Wyszedł przed wrotnię i zapalił papierosa. Pilarz spytał:

— Byliście na targu w Skierniewicach?

— Sprzedano się tucznika i grosza trochę wpadło. Większą wagę miał wieprzak niż myślałem. To i kupiła sobie kobieta cośkolwiek do kuchni. Magdzie nigdy garnków nie jest za dużo! — zaśmiał się zadowolony.

— Lżej wam teraz?

— Nie powiem marnego słowa — z przekonaniem odpowiedział Osin.

— Zawsze to pewny grosz w gospodarstwie, jak człowiek podpisze kontrakt.

— W Korei już pokój — rzekł Pilarz zaciągając się dymem.

— Słyszałem — odparł Osin.

— To myśny uradził, Wojciechu, że z tej okazji odwieziemy zboże na skup. Manifestacyjnie. Razem, całą wioską. Jutro o dziesiątej. Omiłicie się na tyle, żeby z nami pojechać?

— Nie byłoby to brzydło — z namysłem powiedział Osin.

Było dość wcześnie, gdy wesołe okrzyki wywabiały Osina z chłupy. Wyszedł z Magdą do plotu i prawie oczom nie wierzył. Przez wieś jeździły dwa wozy. Ogumione koła sunęły bezzesełnie po drodze. Na pierwszym wozie siedział okrzakiem Byczkowski, na drugim rozpiętał się Ograbek. Z wozów wystawały pełne wory. Obaj chłopcy strzelali zuchowato z batów i wykrzykiwali.

— Na skup jedziemy obywateli! Na skup! Niech żyje Polska Ludowa!

Kiedy przejeżdżali obok domu Osina, Ograbek przechylił się i krzyknął.

— A wy, Osinie, nie jedziecie? Samodzielni gospodarze przedzie się biczyskiem w stronę domów współwujów, od tamtych! — wskazał dziełców.

Osin wzruszył ramionami, a Ograbek zaśmiał się i podciął konie. Dwa rosłe wałachy przyspieszyły kroku. Wozy wyjechały rychło na trakt wiodący do Lyszkowa. Było trochę z górki, więc konie szły łatwo. Obaj chłopcy jechali jeszcze kilometr, potem przystanęli. Droga była pusta, lekkie wzniesienie ukryło Maziska. Nikt we wsi nie widział, jak Ograbek z Byczkowskim wydostali spod wozów kilka snopów słomy. Warki, wydłowane ziarnem, opadły na dno wozów i zniknęły pod słomą rozpostartą na wierzchu. Wozy ruszyły dalej. Koniom szły truchciłem klaskając kopytami o ubity trakt.

Około dziesiątej, sprzed świetlicy, wyruszył barwny korowód. Na pierwszym wozie, pod transparentem z napisem „Chłopi Pracujący Spółdzielni i Wsi Maziska Odstawia Zboże Przed Terminem”, usadowili się muzycanci. Na następnych wozach śpiewano piosenki. Jakis piskliwy głos zawodził.

Skoszone już żyto, pszeniczka skoszona, Na głowie Kasieńki złotista korona. Złotista korona z pszeniczki i żyta...

Osin jechał przedostatni. Powoziła Magda. Uparła się jechać. Ubrana była odświętnie, na głowie miała kwiecistą chustkę, kupioną wczoraj w Skierniewicach. Osin uścisnął tyłem do konia i gwarzył z soltysiem Pilarzem, który przysiadł się na jego wóz. Był w dobrym stroju, zaciągając się z lubością dymem papierosa i opowiadał Pilarzowi o wczorajszej wycieczce Jawora.

— Ale ci jucha sprytny. Chciał mnie podjechać przeciwko wam. Ślepa mu tylko błyskała!

Tadeusz Szeveera

GUSTAW MORCINEK

Z NOTATNIKA POSŁA

Piękna i szlachetna jest funkcja społeczna posła w dzisiejszej Polsce. Obywatele garną się do niego z całkowitym zaufaniem, że jeżeli nikt nie pomoże, to posel pomoże.

Przychodzi macocha i pokazuje mi fotografię małej dziewczynki. — Widzicie, obywatelu, to jest Zośka. Ja jestem jej... macochą...

— No, i co z tego?

— Umrze, biedulka, a mnie jest jej strasznie żal.

— A dlaczego ma umrzeć?

— Bo nam krowy wyzdychały. Przyszczyła je napadła i wszystkie zdechły. Słowem: ruina; i chyba wypadnie pójść po żebranych chlebie.

— Ale co ma wspólnego groźba Zosce śmierci z przyszczyką wśród waszych krow?

— Bo to jest tak. Zośka ma gruźlicę. Znajduje się na leczeniu w sanatorium dla dzieci. Mamy płacić za nią dziennie około 20 złotych. A my nie mamy. Jeżeli ja więc wezmę do domu, to mi umrze!... Ratujcie ja, drogi poselku!

— A macie jakie zaświadczenie? — Mam! Oto zaświadczenie Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, że nam krowy wyzdychały, a oto zaświadczenie lekarskie, że jej starsza siostrzyczka, Renia, także moja pasierbica, jest również zagrożona gruźlicą... A oto jeszcze zaświadczenie z Prezydium Miejskiej Rady, że z nami bieda...

Dotychczas poselstwo macochy kojarzyło się zawsze z pojęciem jakiegoś człowieka nieużytego, twardego, złośliwego, znęcającego się nad sierotkami. Macocha weszła do literatury, a przede wszystkim do bajek, jako typ baby złej, okrutnej i mściwej. A tu naraż macocha płacze, że jej pasierbica może umrzeć, a „to takie strasznie kochane dziecko”!

Posel idzie do macochy, przekonuje się, że to wszystko prawda, przekonuje się przede wszystkim, że macocha ma wspaniałe, ludzkie serce i zaczyna robić larum. „Jeżeli już nie możemy, drogi panowie z Centralnej Poradni Przeciwwróżdziej, odpowiedzieć na dwa listy i prośby macochy, wysłane do was przed dwoma miesiącami, to odpowiedź przynajmniej na mój list, a przede wszystkim uwzględnić jej prośbę.”

Nie wiem, czy mój apel coś poskutkuje. Jeżeli trafi na tepego biurokrata, ten zastąpi się jakimś konkretnym paragrafem i będzie miał czyste sumienie. Przynajmniej przypuszcza, że będzie miał czyste sumienie. W rzeczywistości bowiem sumienie jego będzie obciążone tragedią dziecka.

*

Przychodzi do mnie delegacja gromady chłopskiej i prosi, i zaklina, by uczynić porządek z dyrekcją tartaków, której obowiązkiem jest czyścić dwukrotnie w ciągu roku łożysko tak zwanej młynówki toczącej koła tartaków. Młynówka nie była już czyszczona od kilku lat, wylewała przez zniszczone brzozi i zatapiała chłopom oziminę (rzecz dzieje się w zimie), zalewała kopce z ziemniakami i wlewała się do piwnic. Zrozpaczeni chłopcy chcieli sami już wyczyścić nieszczęsną młynówkę i naprawić brzozi, lecz dyrektor tartaku oświadczył, że nie wolno „niepowołanym” wtrącać się do takiej roboty. Widocznie uznał, że ponieważ nie ma takiego paragrafu, który by pozwalał chłopom czyścić młynówkę, podlegającą jego kompetencji, więc wobec tego wara od młynówki!

Posła skarga do Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Na czwarty dzień przyjechała komisja. Samochód „Skoda”, szofer, inżynier melioracyjny i mierniczy. Przeszli młynówkę i oświadczyli, że młynówka musi być wyczyszczona, a brzozi naprawione. Posła pismo z Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej do dyrektora tartaku z nakazem wyczyszczenia młynówki w ciągu najbliższych czterech tygodni. Po czterech tygodniach przychodzi pismo z dyrekcyi tartaku, że młynówka nie będzie czyścić, gdyż nie posiada na tę pracę limitów, a po drugie, to zależy od decyzji zwierzchniej władzy w B.

Hi! hi! — zaśmiał się Bożkowski.

— O! Maćkowski, to drugi Czapl. Szymon niedobrze popadł — pożałowała Koselarka Katarzyna.

— Co wy mówicie! Nieobrze? Tam tyle bogactwa! — wywalała się z kąt Ludwiczowa, która została się, aby pomóc gospodni przy kuchni.

— Teś wszystko dusi! — mruknął Jakub.

— Podobno Szymon ma się przebieć do Maćkowskiego. Co zrobicie z chłupą?

— Szymon wam kłopotu nabawi! Zobaczcie! — jęknął chyltze Bożkowski.

— Wyście z Maćkowskim kumoter, to poratujecie — odcięła jasnym, dzwicznym głosem Katarzyna.

— O! Jaka ostrza! A i tak wstyd! Szymon pogardził swoją rodziną! — naciął z uporem Bożkowski.

— Co tam będziecie wspominać! Nie mógł, to i nie przyszedł — uspokajał łagodnie łysy Zgorzelak.

— Matka podaj no starym jaki talerz!

Zmierzchało na dobre. Za oknem, na drzewach, krzakach, polach, osiadał gęsty mrok. Wysoko po niebie przelatują kłębiaste chmury, rozświetlone słabym blaskiem księżyca. Zza rzeki rozniósł się krakanie wron i uciachło nagle, ustępując miejsca muzyce i śpiewom.

Tadeusz Papier

TADEUSZ PAPIER

WESELE U ZGORZELAKÓW

(FRAGMENT POWIEŚCI)

WESELE Krysia Zgorzelakówny odbyło się na początku kwietnia.

Wysoka, chuda Zgorzelakowa wychodziła z kuchni i przynosiła do kapusty, to jakieś mięso, to kawaly placka. Twarz gospodyni nie wyrażała zbytniej radości. Na wąskich ustach osiadł niewyraźny uśmiešek: ni to zadowolenia, ni żalności. Zgorzelakowa pokłoniła się z mężem. Nie chciała wyprawiać hucznego wesela. Powiadała, że lepiej dać młodym to, co goście przejdą. Ale Zgorzelak uparł się. Wydawał najmłodszą córkę i nie dbał o nic. „Ostatnie wesele!” — mówił.

W izbie huczało. Tu i tam śpiewano. Wąsaty Jakub Koselarz, który dwa lata temu ożenił syna Ignacego ze starszą córką Zgorzelaka, Katarzyną, huczał basem na cały dom, ilekroć zauważył szczyplą postać panny młodej!

„Oj, a porachuj, Krysieniu, dziurczki w przetaku. Oj, a tyle będziecie miała pierwszej nocy strachu!”

Kobiety pisały z uciechy, a stary Jakub wymyślał coraz to nowe dwuwiersze.

— Ale zbereżnik!
— Nie byłby Koselarzem!
— U nich od kołyski śpiewają...
— A synów ma już innych... Mruki...

— Ładne wesele! — mruknął Jakub. — Nawet Katarzynie takiego nie wyprawiało...

Zabrzmiało to jak wymówka. Rzeczywiście tamto wesele było dużo skromniejsze.

— E... e... — zmieszal się Zgorzelak. — Tamto, widzisz, było zaraz po wojnie... Gospodarka zniszczona...

— Prawde mówicie! — rzuciła Frackowa. — Czas był inny, to i wesele inne...

— Na czas będziecie narzekać? — krzyknął Bożkowski. Miał już mocno w głowie. Na twarz wystąpiły czerwone cętki. Oparli się o poręcz krzesła, głowę przechylił na bok jakby odczytywał coś na suficie i bebnął palcami po stole.

— Przed wojną był czas jeszcze gorszy, a jakie wesele! Ho! ho! Nę, Zgorzelaku?

— E... co tam!

— Ludzie umieli się bawić — bełkotał Bożkowski. Wstał i potoczył okiem po izbie. — Co to za wesele bez bitki!

— A jakże! — potwierdził chudy, deskowaty Mieta. — Inaczej wesele było dawniej...

— Pamiętajcie, Zgorzelaku, wasze

wesele? No! He! he! Co to Mieta wtedy nie nawyrabiał! Albo Czapl... Jak przyszli do was te z Kuchar, Cygany, czy jak im tam było...

— Cygany! — potwierdził Mieta, wpijając mętne oczy w Bożkowskiego.

— A tak, Cygany! Jedziesz z jarmarku, czy na jarmark, patrzysz, Cygany jadą. Trzeba wóz kierować na bok, bo inaczej źle z tobą...

— A jakże! Pamiętajcie, jak to wywalił starego Cieśię!...

Zgondek pochylił się nad stołem i mówił:

„Wesele kurpiowskie”. Rysunek ludowego artysty Konstantego Lenkiewicza ze wsi Długi Kąt, pow. Ostrołęka

— Te Cygany, jak przyszły, wszystko umilkło. A starszy, taki czarny, wziął się tylko pod boki i krzyknął do muzykantów: „Nasze go!” Podszedł do Marcysi Miętówny, do której zachodził wtedy Czapl i złapał ją w pól. „Dopiero będzie, jak zobaczy to Czapl, awantura gotowa”. I tak było, ktoś dał znać Czapl. Ten niby nie duży i nie taki gruby jak dzisiaj, ale silny, przyleciał i wiele się nie namyślał, wyrwał blachę z kuchni i z tą blachą na Cyganów...

— O jej! — pisała Frackowa.

— He! he! — zaśmiał się Mieta.

— A Czapl! dzisiaj nie ma?

— Prosiłem go, ale...

— Nie przyszedł, obejdzie się bez niego! — mruknął Jakub.

Katarzyna, rozchocona tańcami, muzyką, weselem, poczęła śpiewać:

„Musiałas, Krysieniu, rogożnie smykać,

Bo na twoim weselu muzyki nie słyszał...”

— Nie słyszał! — poczęło wołać ze śmiechem.

Pan młody jednym skokiem dopadł do okna, rozwarł je na oścież. Do izby wdarły się szeroka fala dźwięku oberka. Zdało się, że sąsiedni dom Kality, pęka od nadmiaru muzyki, śpiewu i okrzyków.

— A to co? — zawołał pan młody. — Mało wam jeszcze muzyki.

Zgorzelak wysunął się nieco do przodu i zadzierając głowę do góry zanucił wysokim tenorkiem:

„Przez las, przez porębę, Kochałem i będę. Komu będzie żałosz, Będzie kochał na złość!”

— A to szkaradnik! — rzuciła się na niego Zgorzelakowa. — Patrzcie, jaki latawiec!

Bożkowski zatkał pięściami usta i śmiał się jak szalony. Starszy drużba, Brewiński, z którym pan młody przyjaźnił się szczególnie, zanucił basem ulubioną piosenkę „Płynię, płynię Oka...” Dziewczęta poczęły mu pomagać i wkrótce pieśń zagłuszyła inne przyśpiewki i rozmowy. Potem nastąpiła chwila przerwy.

Z drugiego stołu słycać było, jak stary Jakub oświadczył się Krysce, przedrzeżniając jednocześnie pana młodego, i rozlegał się dzwiczny śmiech kobiet. Brewiński opowiadał o rychłym przyjeździe na wieś komisji melioracyjnej, która ma zająć się uregulowaniem rzeki oraz



„Wesele kurpiowskie”. Rysunek ludowego artysty Konstantego Lenkiewicza ze wsi Długi Kąt, pow. Ostrołęka

remu brakuje tylko aureoli nad łysą, by uchodzić za świętego Biurokracemu. — A dlaczego ma to być sobota, he?... kończy groźnym pytaniem.

I jak tu wytłumaczyć takiemu świętemu Biurokracemu, że chłopki jak pijani szewcy, że wymyślają na ponurą biurokrację. Ja bym też kłął!

*

Czasem przychodzi obskurna baba i domaga się sprawiedliwości.

— Jakiej sprawiedliwości? — Bo mi chłopca zamknęto w kryminalu!

— A dlaczego? Za co?

— Za nie! Ludzka złość to wszystko zrobiła!

— A co zrobiła ludzka złość? — Było ich trzech — zaczyna baba o gebie rzezimieszka. — Tamci dwaj koleczy i mój chłop. No, i była kradzież w sklepie Samopomocy Chłopskiej, który ci trzej prowadzili. No, i wszystkich trzech zamknęto. Teraz siedzą. Mój chłop też...

— A on nie nie ukradł?

— Tamci dwaj więcej zabrali... — odpowiada baba wymijająco. — Gdy była rewizja u nas i u nich, to milicja dużo u nich znalazła skradzionego towaru...

— A u was?

— Nie wszystko znaleźli! — paple baba i porozumiewawczo mruka na mnie kaprawym okiem. Daje mi do zrozumienia, że była chytra i do brze ukryła skradziony towar.

— Wście, co, panie posle? — A mo- żebyście tak pojechali do prezydenta i powiedzieli mu, że mój chłop nie był jeszcze nigdy karany, żeby go wypuścić z areztu... — kończy baba, ja też skończyłem.

*

Zebrań w gromadzie w K. odbywa się z parady. Przed wejściem do świetlicy ustawili się strażnicy w szpalercie, z blyszczącymi hełmami na głowach. Był raport, było meldowanie „że wszystko w porządku, tylko sikawkę diabli wzięli, bo się tłok urwał”, potem były dzieci z kwiatami, papierowe transparenty na brudnych ścianach, na transparentach niesłychanie gromkie i bogogoczyzniane napisy z tekturowych literek, niezdamne ułożone. Przewodniczy soltys z sąsiedniej gminy, człowiek bystry, inteligentny, o suchym, orlim nosie.

Gromada przedkłada skargi, że młynówka wylewa, że droga zła, że to najgorsza droga w całym powiecie, że za mało węgla przydziałowego. Mówi jeden, mówi drugi, trzeci się zapala, czwarty już przybera pozę Katona rozdzielającego szaty, piąty przemienia się w księdza Skarę z obrazu Matejki, a szósty obiecuje, że się „pięścią przebodzie” z rozpac

TADEUSZ SIEROCKI

DWIE ROCZNICE

Trzydzieści pięć lat temu, 16 grudnia 1918 r. w Warszawie przy ul. Zielnej 25, na wspólnym zjeździe SDKP i L i PPS-Lewicy, na skutek połączenia tych dwóch partii, powstała Komunistyczna Partia Robotnicza Polski przemianowana w 1925 roku na Komunistyczną Partię Polską.

Jako partia marksistowska, KPP od pierwszych chwil swego istnienia wysunęła na czoło swych zadań walkę o obalenie kapitalizmu i ustanowienie dyktatury proletariatu.

chiłską. Opierając się na leninowskich wskazaniach II Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej, Zjazd KPP zaaprobował tezy agrarne wraz z uchwałą i odezwą o sojuszu robotniczo-chłopskim.

„W walce z obszarnictwem, w obronie mas chłopskich zdradzo-nych przez rząd Witosą — czytamy w uchwałach — Partia wysuwa naczelną hasło: „Ziemia dla chłopów”. Żądamy wywłaszczenia wszystkich folwarków bez wykupu i oddania ich do rozporządzenia ko-

Dochozi też do słynnych wypadków w powiecie leskim, w czasie których policja zabija i rani kilkunastu chłopów.

Jeszcze ostrzejsze formy, przybrały walki latem 1933 r.; brało w nich udział około 100.000 chłopów.

KPP rozumiała dobrze, że sprawa wciągnięcia do rewolucyjnego ruchu sojusznika — szerokich mas chłopstwa — jest sprawą decydującą dla dalszej zwycięskiej walki o rządy dyktatury proletariatu. Dlatego też komuniści biorą czynny udział w walkach chłopów, organizując je i kierując nimi.

Dojście Hitlera do władzy w 1934 r. uzyskało pełne poparcie sanacyjnych rządów. Burżuazja Polska uzyskała tegoż sojusznika. Faszyzacja życia w kraju następuje teraz w przyspieszonym tempie. Wprowadzane są sady doraźne, ustawy o zgrupowaniach i zebrań, inne ograniczające podstawowe swobody obywatelskie. Sanacja na wzór hitlerowskich obozów koncentracyjnych, tworzy słynną Berezę Kartuską. Ukoronowaniem tych poczyną-tych było wprowadzenie w 1935 roku nowej konstytucji faszystowskiej.

Masy pracujące z KPP na czele podejmują w odpowiedzi szereg strajków o wybitnie politycznym charakterze. W ogniu walk strajkowych dochodzi do jednolitego frontu między komunistami i robotnikami, pępowcami, nie dającymi wodzić się na pastkę zdradzieckiej „góry”. W całym kraju rozlega się hasło: „chleba, wolności, pokoju”. Jednolity front ludowy organizowany przez KPP ogarnia coraz szersze warstwy narodu.

Komuniści polscy organizują skutecznie masy chłopskie do walki z uciskiem sanacyjnym. W związku ze strajkami chłopskimi w 1937 r. KPP przygotowuje wśród robotników akcje solidarnościową z walczącymi chłopami.

Zbliżał się rok 1939, rok klęski burżuazji państwa polskiego. Mimo ostrzeżeń ze strony Związku Radzieckiego przed nieuchronnie zbliżającą się wojną, burżuazja polska, głucha na propozycje zawarcia

mitetów rolnych wybranych przez „ogół chłopów i robotników z wyjątkiem bogaczy wiejskich”.

Uchwały zjazdowe wskazywały na konieczność podziału ziemi obszarniczej, dając jednocześnie socjalistyczną perspektywę rozwoju wsi polskiej. Podobnie jak Partia nasza obecnie, tak KPP w 1923 r. wskazywała że socjalistyczna przebudowa wsi nastąpić powinna na zasadzie dobrowolnego zespolenia gospodarstw chłopskich, w oparciu o pomoc klasy robotniczej i państwa.

„Droga do socjalistycznej gospodarki, prowadzić będzie nie przez przymusowe wywłaszczanie „szerokich rzesz chłopskich ani przez politykę doprowadzającą ich gospodarstwa do upadku, ale przez unaoenczenie im dobrodziejstw zrzeszonej pracy”.

Po zjeździe Partia przechodzi do ofensywy na wsi. Powstają masowe i rewolucyjne, kierowane przez KPP organizacje chłopskie, jak: Niezależna Partia Chłopska, białoruska „Hromada”, ukraińska „Selrob”. Wzrasta fala ruchu narodowo-wyzwoleńczego na Zachodniej Ukrainie i Białorusi. Wiesz staje się coraz bardziej niespokojna. Coraz bardziej docierają do mas chłopskich żądania KPP: „Ziemia dla chłopów”.

Niebywały terror rządów pułkownikowskich po przewrocie majowym nie potrafił zdusić rewolucyjnej walki klasy robotniczej i jej Partii. Nie rozbili jej również dywersyjna rola PPS. Wpływy KPP stale wzrastają. W 1928 r. zdobywa ona w wyborach do sejmiku około miliona głosów. Rozszerza się zakres jej działania. Członkowie Partii stają na czele wielkich walk strajkowych, uzyskując pełne zaufanie robotników.

W latach ostrego kryzysu gospodarczego Partia organizuje masy pracujące do walki. I znów strajki powszechne rozlewają się po całym kraju. Zagłębie, Łódź, Warszawa, Kraków — to tylko większe ogniska tej walki.

Za przykładem robotników szli do walki chłopci. Głośnym echem w kraju odbiły się masowe wystąpienia chłopskie w roku 1932 w powiecie limanowskim i krośnieńskim.

Dalekowzroczność polityki PPR uwidoczniła się w dniu, gdy na ziemi polskiej wkroczył żołnierz Armii Radzieckiej niosąc wolność uciskanym narodom. Polska wkroczyła w nowy etap swego rozwoju. Urzeczywistnione zostało to, o co przez długie lata walczyła KPP. W Polsce władzę wzięła w swe ręce klasa robotnicza, robotnicy otrzymali na własność zakłady pracy, chłopci — ziemię.

W trzydziestą rocznicę powstania Komunistycznej Partii Polski, w 1948 roku odbył się historyczny Kongres Jedności Klasy Robotniczej. W wolnym od ucisku kapitalistycznego kraju, dnie trwania Kongresu były dniami wielkiego święta i radości.

Kongres Zjednoczeniowy z jednej strony podsumował dorobek bohaterów walk i doświadczeń klasy robotniczej, zlikwidował długoletnie rozbieżności w łonie ruchu robotniczego nakreślił drogę rozwojową Polski do socjalizmu; z drugiej strony — był wdomym świadectwem zwycięstwa marksizmu-leninizmu w walce z wrogimi wpływami ideologii burżuazji.

Patrząc z perspektywy pięciu lat na drogę, jaką przebył nasz naród, z dumą stwierdzić można, że pod kierownictwem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Polska przeszła być krajem biednym i zacofanym. Kraj nasz może się dzisiaj chlubić wielkim nowoczesnym, socjalistycznym przemysłem o stale wzrastającej kulturze rolnej wsi.

Poważne sukcesy w uprzemysłowieniu kraju pozwoliły nam na szybsze zaspokojenie potrzeb ludności, na przeprowadzenie obniżek cen, która przyniosła milionom ludzi pracy kilka miliardów złotych oszczędności. Partia walczy o to, aby z każdym miesiącem ludność Polski miała więcej wszelkich towarów i artykułów żywnościowych. Powodzenie tej walki w dużej mierze zależy od podniesienia na wyższy poziom gospodarki rolnej, która wciąż jeszcze nie nadąża za przemysłem. Wielkie zadania, jakie sta-



układów przeciwko Hitlerowi, ciągnęła naród w przepaść.

Ciężkie lata okupacji hitlerowskiej nie złamały narodu polskiego, nie zdusiły walki o wyzwolenie narodowe i społeczne. W walce tej przewodziła związana nierozwalnie z masami pracującymi Polska Partia Robotnicza. Ona to rzuciła hasło walki zbrojnej z okupantem, przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, obalenia burżuazji i obszarnictwa, oddania chłopom ziemi bez wykupu, unarodowienia wielkiego przemysłu, zapewnienia wszystkim pracy. Kontynuując politykę Komunistycznej Partii Polski, PPR skupiała wokół siebie masy pracujące do walki o wolną i niepodległą Polskę.

wiają przed naszym rolnictwem tezy IX Plenum przed II Zjazdem Partii, wymagają dużego wysiłku mas pracujących chłopstwa.

Sukcesy ubiegłych pięciu lat zwycięskiego marszu do socjalizmu osiągnęliśmy dzięki wielkiej pomocy materialnej i kulturalnej Związku Radzieckiego, którego pokojowe budownictwo jest dla nas wzorem i przykładem. Patrząc na nasze osiągnięcia, na wzrastający dobrobyt mas pracujących, musimy sobie jasno zdać sprawę, że są one rezultatem nieugiętej walki, jaką w latach przedwojennych toczyła KPP, w czasie okupacji i po wojnie — PPR, a obecnie Polska Zjednoczona Partia Robotnicza.

Tedeusz Sierocki

ŚWIATŁA WIELKIEJ PRZYJAŹNI

(Dokończenie ze str. 1)

mieszkalnej części, bo stać ich było na 800-złotowy(!) czynsz miesięczny. Pałac jest nasz. Będą się w nim odbywały n a s z e zjazdy, uroczystości, kongresy. Tu będą koncertować n a s i artyści, tu pracować będą n a s i naukowcy, tu przychodzić będzie po sport, rozrywkę i radość n a s z a młodzież.

Tak właśnie, jak w pięknym wierszu Adama Ważyka:

Nie nasze były mury
naszej architektury,
krwią zlepienie palace,
te ubogie prace,
gotyk naszego trudu,
renesans dzieło ludu,
płomn stawiany barok,
pokraczny dom czynszowy,
kupieckiej demokracji
i obliczany na rok
dom — widmo spekulacji,
i styl wasz nieczłowieczy,
z niezdarzonej przygody,
bez serca i urody...

A inaczej ze zwałisk
rośnie, by wrosło w socjalizm,
dla świetlic i bibliotek —
nasz staromiejski gotyk,
nasz renesans i barok,
nasz monument surowy,
nasz fronton koronkowy,
jak spod igły hafciarek,
inaczej nad nim błyska
dachówka sercu bliska...

IV.

Trudno rozmawiać z ludźmi Pałacu. Nie dlatego bynajmniej, aby okazali się oni szorstcy czy nieprzystępni, by nie chcieli mówić o sobie, o swojej pracy, o swoim życiu i o jego drogach, które ich tu, na tę budowę przywiodły. Trudno — bo wre tutaj ogromna praca. Trudno bo ledwie minęła rocznica Rewolucji, a z nią gorączkowy rozmach i tempo pamiętnych dni, w które dźwignięto iglicę na szczyt Pałacu — a już ruszyła fala zobowiązań z okazji II Zjazdu Partii.

Warszawa. Daleko od południowego wschodu ciemnieją gęsi i plamy lasów, Wisła prezentuje w całej okazałości kapryśne skrzyty swego boga, tu i ówdzie ponad zwartą masę szarych, brunatnych i czerwonych dachów strzela kościelna wieża lub komin fabryczny. Różowymi lub kremowo-białymi plamami odcinają się z dala bloki nowych osiedli mieszkaniowych. Jesteśmy na dwudziestym piątym piętrze, do szczytu Pałacu jest za daleko, a okryczany niegdyś „drapacz”, który wybudowało amerykańskie towarzystwo ubezpieczeń „Prudential” — ma zaledwie pięć pięter.

Przypadkowo napotkany robotnik rzuca okiem w dół i odgaduje, że mierzymy wzrokiem odległość, jaka nas dzieli od dachu „Prudentialu”.

— E, gdzie tu tam do naszego pałacu — mówi lekceważąco, ruszając śpiesznym marszem w górę i ginie wśród schodów, wiodących na piętro dwudzieste szóste, dwudzieste siódme — i jeszcze, i jeszcze wyżej...

W notessie pojawiają się gryzono-łone pośpiesznie uryki różnów i nawziska, z którymi kojarzy się później wśród wspomnień czyjaś uśmiechnięta w przelecie twarz, słowa: „O, byłoby to czymś gadać, tylko roboty huk!”.

Zaaferyowany wygład, mocny uścisk ręki...

Mówi towarzysz Jenisjajew: — Warszawę znam już dawno. Wszedłem wtedy w 1945 roku, kiedy wyzwalaliśmy naszą stolicę. Zdrucgotana była strasznie! Nie myślałem wtedy, że sam dołożę ręki do jej odbudowy, a o, teraz...

Mówi Fiodor Alafierdow: — Ja kieruję brygadą monterów. Jak pracują? Dobrze pracują — jakżeby inaczej? Skąd przyjechałem? Z Turkmenii. Tam, gdzie się buduje wielki kanał — wiecie?

Mówi towarzyszka Lubaszina: — Tak, jestem spawaczką. Jest nas tutaj więcej, przeważnie młode dziewczęta. Pracowałam przed wojną w tym zawodzie u siebie w Leningradzie. A potem, jak wojna wybuchła...

Potem była obrona Leningradu

i głodowe dni blokady i radosne dni, podczas których odepchnięto faszystów i lata służby frontowej. Jako oficer polityczny, starszy lejtnant Lubaszina dotarła do Warszawy...

— Tu nas więcej takich, co Warszawę oswobodziliśmy — uśmiecha się, wracając do swoich spawaczek...

Zapytaliśmy naszych polskich robotników — szeregowych wielkiej armii budowniczych Pałacu, jak im się pracuje z towarzyszącymi radzieckimi, jakie korzyści czerpią z ich doświadczeń, czego się od nich uczą? Słyszemy odpowiedzi o nowych maszynach, o sposobach ich obsługi, o nowych metodach pracy, na których widok szeroko otwierali oczy nawet ci, co już przeszli przez MDM lub Starówkę. A teraz już nie dziwią się, bo nauczyli się wiele, bardzo wiele... Wykwalifikowany betoniarz Stanisław Walczak i zatrudniony przy robotach ziemnych Ryszard Piechowski, mówią, a za nimi to samo powtarzają inni:

— „Ruskim” zależy na tym, żebyśmy się od nich dużo nauczyli. To widac od razu. Bywało, że do naszego fachowca to nie zawsze śmiało się miało, żeby doświadczenia, jak czegoś nie rozumiał. A do nich to zarazem szedł. Prosił się, weselił, a nawet jak po swojemu tłumaczył, to tak, że się w głowie rozjaśnia. Swoi ludzie. „Swoi”, bliscy są oni w pracy, na budowie, na wyścigach, podczas których jedzą razem z polskimi towarzyszami, żeby poznać Polskę, dla której pracują...

Wielu wśród polskiej załogi budowniczych Pałacu przyszło tutaj odbyć szkołę MDM-u lub Starówkę. Budowa Pałacu, to wyższy „stopień” tej szkoły. Szkoły korzystania z doświadczeń produkcyjnej techniki, szkoły organizacji pracy — i nowego stosunku do człowieka.

V.

Dzień za dniem rośnie Pałac. Wieczorami widac z bliska i z daleka silne iskry, błyskające na wysokich piętrach. Wiemy, że to pracują zawieszony wysoko, między niebem a ziemią spawacze. Tak jak oni pracują inni — murarze i stukturzyści, kamieniarze, cieśle, montażyści, operatorzy wielkich maszyn budowlanych, znawcy nowej techniki, o jakiej w latach trzydziestych, za czasów budowy okryczanego „Prudentialu” nikomu się nie śniło...

W uroczyste dni — girlanda iluminacji oplata szczyty Pałacu. W dni zwykłe, robocze — płoną góry rubinowe światła, tak jak te gwiazdy, które goreją nad wieżami szczytami kopalni, obwieszczając, że wykonano w nich plan.

Skądkolwiek zdążasz ku Warszawie — ujrzyś go z odległości pięćdziesięciu kilometrów. Rośnie na chwałę naszej Ojczyzny i czasem, w których „lud wszedł do śródmieścia”. Wśród dżdżystych wieczorów listopada i mroźnych nocy nadchodzącej zimy rzuca coraz dalej i dalej, coraz wyżej i wyżej gorący blask swoich światel. Tak płoną światła wielkiej przyjaźni.

Monika Warneńska

Z NOTATNIKA POŚŁA

(dokończenie ze str. 4)

A czasem posel otrzymuje listy z podziękowaniami za skuteczną interwencję. Wprawdzie tezy listów jest ogromnie mało w stosunku do skutecznych interwencji, lecz na bezrybiu i rak ryba! A dla odmiany czasem przyjdzie i list z wymysłem.

Innymi słowy żywot posła bywa wielce urozmaicony, spotyka się z życiem we wszelkich jego formach i odmianach, natrafia na pokrzywdzonych i na chytrych mataczy, na potrzebujących pomocy i na kreacę spod zakopanej gwiazdy, uczy się powoli odróżniać plewy od ziarna wśród ludzi, staje się orędownikiem, pocieszycielem strapiionych, opiekunem, nauczycielem, sądzią, a przede wszystkim staje się posłem ludowym.

Gustaw Morcinek

FRANCISZEK ŚNIEG

Wypowiedzi po IX Plenum Partii

Socjalistyczne gospodarstwa

Tow. Bierut powiedział w swym referacie, że mechanizacja jest podstawowym warunkiem wzrostu sił wytwórczych w rolnictwie. Nie ma u nas w powiecie Sławno takiego robotnika w PGR, czy w spółdzielni produkcyjnej, któryby nie przekonał się, jakie dalece maszyny rolnicze przyczyniają się do podniesienia plonów.

Chcę tu podać na przykładzie 18 gospodarstw naszego zespołu PGR Ostrowiec, który gospodaruje na 9 tysiącach ha, jak rozwinięła się mechanizacja uprawa pól w stosunku do 1949 r.

W roku 1949	W roku 1953
Traktorów szt. 45	szt. 85
Zn. wózków kon. 13	47
Snopowiązalek 13	55
Siewników zboż. 12	50
Siewników nawoz. 8	34
Plugów traktor. 25	60
Plugów kon. 38	165
Młocarn 5	15
Kosiarek 5	83

W ciągu 4-let lat osiągnęliśmy we wszystkich zbóżach plony o 7-8 q. więcej. Tak samo w okopach: sprzątaliśmy z hektara zaledwie 80 q. ziemniaków; dziś — zbieramy przeciętnie 150-160 q. i

widzimy możliwości — przy odpowiednim stosowaniu kultury rolnej — osiągnąć jeszcze wyższych plonów. Mamy tego przykład w naszym zespole w gospodarstwie Łaski, którego kierownikiem jest ob. Wikolaj Osada. W Łaskach jeszcze wiosną ub. roku zaplanowano ziemie pod sadzenie ziemniaków i w lecie ub. roku na powierzchni 91 ha zasiano lubin. Wiosną tego roku lubin zwalowano i puszczono talerzówkę; po talerzówce zasiano oboornikiem, przeorano na głębokość 22 cm, wyrównano wólką — i znów zwalowano. Po zbiorowaniu przystąpiono do sadzenia ziemniaków.

W gospodarstwie Łaski gleba jest o wiele słabsza niż w sąsiednich gospodarstwach. Mimo to już w pierwszych dniach wykopków (przy pomocy radzieckich kopaczek) pokazało się, że w Łaskach znacznie przekroczono dotychczasową wydajność z ha (130 q). Przeciętnie na obszarze 91 hektarów Łaski osiągnęły po 190 q. z ha, a na niektórych działkach — po 200 q.

Te osiągnięcia nie przyszły same; wszystko zależy od wiedzy agronomicznej. Na dwa tygodnie przed zakwitemiem ziemniaków brygada polowa wysiała wapno nawozowe po 10 q. na ha. Następnie stosowano radzenie trzyczędowe.

Gdyby we wszystkich gospodarstwach naszego zespołu wkładano tyle starań w pielęgnację ziemniaków, mielibyśmy ich w całym zespole o 300-400 ton więcej. Każde gospodarstwo jest zdolne na lepszej glebie osiągnąć jeszcze wyższe plony.

Od kogo zależy podniesienie stopy życiowej chłopów i robotników? Im więcej wyprodukujemy, tym więcej będziemy mieli. Więcej będzie miał chłop i robotnik i ściślej zacieśni się sojusznik robotniczo-chłopski.

W zespole PGR Ostrowiec, dzięki pomysłom racjonalizatorskim, powstały różne urządzenia. Ob. ob. Jan Walento i Edward Wodnicki zmontowali kilka dmuchaw do podawania siana i słomy; stały one od kilku lat nieczynne; dziś 8 dmuchaw zastępuje ludzkie ręce.

Niejedn starszy robotnik przypomniał sobie ciężką pracę w obszar-niczym majątku. Wielu młodych ludzi tych czasów nie pamięta i nie doświadcza sobie, jak zmieniło się nasze życie: dowiadują się o tym z książek naszej zespołowej biblioteki. Liczni nasi ZMP-owcy przeczytali „Ojczyznę” Wandy Wasilewskiej, „Dalekie i bliskie” Kowalskiego, „Stare i nowe” Rudnickiego, powieści Kruczkowskiego i wiele innych książek; wiedza za-

tem, w jak ciężkich warunkach ludzie żyli dawniej. Nasze PGR — to dawne obszarnicze majątki.

Nikt w nich nie myślał o racjonalizatorstwie. Gdzieby tam wówczas robotnik w obszar-niczym majątku martwił się tym, że plakarnia stoi beczynnie wskutek zużycia trybów stalowych ślimaków spiralnych? Mechanik Jan Walento z tow. Wodnickim, na zebraniu partyjnym przyrzekli uruchomić płatkarnię sposobem racjonalizatorskim. Z materiału przygotowanego ze smelcu skonstruowali oni dodatkową transmisię. Płatkarnia została uruchomiona bez trybów spiralnych i pracuje bez usterek. Powstała więc u nas możliwość przerabiania ziemniaków na płatki ziemniaczane.

Pod wpływem też IX Plenum w przyszłym roku uruchomimy w naszych gospodarstwach: przyrządy do nakładania na wóz obornika, kolejkę w oborach dla dostarczania paszy i wywózki obornika, samoczynne poidła.

Nasze PGR w powiecie Sławno w dużym stopniu oddziaływały na gromady indywidualne, gdyż mamy w powiecie 68 spółdzielni produkcyjnych: beznala połowa wsi przeszła na zespołową pracę. Chłopi widzą osiągnięcia naszych PGR i wiedzą, że w zespołowej pracy łatwiej o wyższe plony, o lepszy poziom gospodarki, o hodowlę na szerszą skalę.

Większe nasze osiągnięcia były możliwe dlatego, że państwo wypo-

sażyło nas w bazę techniczną, w maszyny różnego rodzaju, w środki inwestycyjne na budownictwo mieszkaniowe i gospodarcze, skierowując równocześnie do pracy techników budowlanych, cieśli, murarzy, lekarzy, zdunów itp.

Dotychczas wielu naszych robotników nie zdawało sobie sprawy, że podniesienie stopy życiowej zależy od nas samych. Za mała była u nas praca kulturalno-oświatowa i polityczna. Słabo pracowały nasze podstawowe organizacje partyjne. Nie mogła więc w większym stopniu wzrosnąć świadomość naszych robotników. Nie mogły oczywiście porównywać obecnej świadomości naszych pracowników z okresem 1949 r. Nie ma już u nas robotnika, któryby nie czytał i nie pobrał numerów takich pism i gazet, jak „Robotnik Rolny”, „Gromada-Rolnik-Polski”, „Chłopska Droga”, „Głos Kształniński”, „Wies” i wiele innych. Z książek ludzie — prócz polskich powieści — stale czytają „Zniwa” Nikolajewej, „Jak hartowała się stal” Ostrowskiego, „U nas już poranek” Czajkowskiego, „Inkiwów wiano” Mortena, „Zorany ugr” Szolochowa, „Słońce nad rzeką Sanghan” „Tajga”, „My ludzie radzieccy” i wiele innych.

Świetlice mamy prawie w każdym gospodarstwie. Robotnicy posiadają własne aparaty radiowe. Gospodarstwa Kwasowo, Ostrowiec i Łaski są radiofonizowane. W krótkim czasie będą radiofonizowane następne.

W naszych PGR-ach szeroko rozwinięto się współpracownictwo pracy. 22 lipca 103 najlepszych pracowników zespołu otrzymało nagrody pieniężne. W 36-tą rocznicę Rewolucji Październikowej 140 pracowników otrzymało premie za wyjątkowo wydajną pracę we współpracownictwie. Dumni jesteśmy z tego, że mamy ludzi pracujących, jak traktorzyści Edward Ciesielski z Ryszewa, Władysław Skalski i Anatol Więkiekiewicz z Bożenicy, Hans Stiwe z Karnie i Herman Schne z Zegocina; wyblili się oni we współpracownictwie zainicjowanym przez Alojzego Karankowskiego z PGR Opatrzno.

Nasi PGR-owcy przekonali się, że wspólnie czytana książka i gazeta w świetlicy — to okno na szeroki świat. Ludzie są ciekni do wszystkiego. Brak kandydatów do kierowania biblioteką, zespołem teatralnym, akcją odczytową — da się przewidywać, gdy nasze organizacje partyjne i komitet zespołowy bardziej wnikną w potrzebę rozwinięcia pracy kulturalnej.

Przekonałami się gruntownie, że bez wiedzy rolniczej, bez czytania książek, bez pracy kulturalno-oświatowej i podnoszenia poziomu ideologicznego — nasza praca nie będzie wzrastać.

Toteż nasi ludzie — po ogłoszeniu Tez Przedzjazdowych mówią sami, podnoszenie na wyższy poziom stopy życiowej zależy od naszej świadomości politycznej, naszej wiedzy i kultury.

Franciszek Śnieg

ANTONI CABAJ

Na naradzie nauczycieli

JUŻ to że toczącym się w Warszawie w dniach 6 — 9 XII obrad Krajowej Rady Aktywu Związku Zawodowego Nauczycielstwa Polskiego przysłuchował się dwóch sekretarzy Partii: Tow. Cyrankiewicz i Ochab, że uczestniczyli w niej: Min. Oświaty Tow. Jaroński i przew. CRZZ Tow. Kłosiewicz — dostatecznie mocno podkreśla wagę, jaką wiąże Partia, Rząd i władze oświatowe z działalnością nauczycielstwa po IX Plenum. Na zjeździe spotkali się nauczyciele miast i wsi, problematyka narady w głównej mierze dotyczyła zadań nauczycieli wiejskich. Formułując te zadania mówił Tow. Cyrankiewicz:

„Nie ma mowy o podwyższeniu produkcji rolniczej bez walki o podniesienie poziomu kultury na wsi i to kultury zarówno w sensie zwiększenia poziomu wiedzy agronomicznej jak i nieodłącznej z tym związanej i zrosnietej sprawy pobudzenia ogólnych zainteresowań kulturalnych.

I tutaj na odcinku wiejskim ogromna jest w zakresie realizacji też IX Plenum rola nauczyciela. Można by powiedzieć, że na wsi, wobec szczupłości naszego aktywu kulturalnego wyraża ta rola, jeżeli chodzi o walkę, o podniesienie produkcji rolniczej do roli decydującej.

40 mówców (głównie nauczycieli wiejskich) złożyło przekonujące dowody, że nauczycielstwo wiejskie gotowe jest do podjęcia tego zadania. Przykłady działkowych eksperymentów, poglądowych form nauczania i bezpośredniego udziału w akcjach społecznych, kulturalnych i gospodarczych udowodniły, że nauczycielstwo i szkoła, są na wsi nie tylko głównym czynnikiem rewolucji kulturalnej, lecz w wielu wypadkach pionierem przemian ekonomicznych.

Do upowszechnienia naukowych form uprawy ziemi i hodowli, zachęcania do stosowania nowoczesnych agrotechnicznych metod, do pomocy przy wprowadzaniu mechanizacji na wsi i wykazywaniu wyższości gospodarki uspołecznionej nad indywidualną — do tych wszystkich zadań wynikających ze społecznego charakteru pracy nauczyciela — dochodzi po IX Plenum nowy, niezwykle ważny czynnik: wychowanie dla wsi wysoko kwalifikowanych kadr rolniczych: traktorzystów, agronomów, zootechników, działaczy społecznych i kulturalnych. Narada wskazywała na niepokojące wyłudnianie wsi, spowodowane odpływem młodzieży do przemysłu. Proces ten musi być ograniczony do rozmiarów właściwych, uzależniony nie tylko od potrzeb przemysłu ale i rolnictwa.

Nie mówimy o mechanicznym „zahamowaniu odpływu” ze wsi do miast — jak to pojęli niektórzy uczestnicy Narady. Zwrócenie uwagi na produkcję rolną nie oznacza bynajmniej, że rezygnujemy z dalszego rozwoju przemysłu; przeludnienie nadmiernie ośrodki wiejskie dostarcza jeszcze sporo rak do pracy. Słusznie też wskazywał jeden z dyskutantów, że rezerwy tkwią nie tylko w samym człowieku. Brak bowiem rąk do pracy na wsi, tym bardziej pogłębia konieczność szybszego i większego zmechanizowania gospodarki rolniej;

Postulat szukania kadr dla rolnictwa w łonie samej wsi rozwijał nie tylko doradca potrzeb chwili. Wyznacza on także poważny wzrost dotychczasowej pracy nauczycielstwa wiejskiego, otwiera szerokość na przyszłość perspektyw, która narzeka w sposób ostateczny i najbardziej prawidłowy ustawia jego pracę. Dotąd bowiem gospodarze korzystali z pracy nauczyciela na wsi, wymykali głównie spoza szkolnego kontaktu z gromadą, rzadziej — dzięki pracy z dziećmi.

Zwrócenie uwagi na ściśle powiązanie zadań gospodarczych wsi z procesem dydaktyczno-wychowawczym wśród dzieci szkolnych — stawia sprawę przyszłych rezerw ludzkich dla rolnictwa na etapie podstawy długoletniego, systematycznego przygotowywania uczniów do pracy w rolnictwie, rozwijania w nim przywiązania do rodzinnego warsztatu pracy i związania przez głęboką świadomość polityczną i osobiste uczucia.

Rzecz jasna nie rezygnujemy przy tym ze społecznej pracy nauczyciela w środowisku chłopskim. Przebieg dyskusji na naradzie wykazał jednak, że wielu nauczycieli odrywa zagadnienia pracy społecznej od pracy dydaktyczno-wychowawczej, bądź rezygnuje z tej ostatniej dublując działalność aparatu gospodarczego i politycznego wsi.

Chodzi więc o powiązanie konkretnych zagadnień gospodarczych terenu z całym procesem dydaktyczno-wychowawczym w szkole i podporządkowanie zajęciom szkolnym także całej gospodarce i społecznej praktyki dzieci i nauczyciela. Środkami realizacji tego zadania są: nasycenie pracy pedagogicznej wysoką zarłością ideologiczną, pogłębienie pasji poznawczej nauczyciela, przepełnienie jego pracy marksistowską metodą badawczą, najpełniejsza realizacja zasady poglądowości w nauce już od pierwszych klas i wszechstronne eksperymentowanie naukowe, podporządkowanie potrzebom poszczególnych rejonów rolniczych.

Antoni Cabaj



„Dobre wyniki nauczania i wychowania”

70-letni starzec i „Antek” Prusa

(Język polski)

KIEDY na lekcjach języka polskiego mówiłem o „Antku” — Prusa i tamtych czasach, zapraszałem do klasy starego chłopca, lat 70, który opowiedział dzieciom, jak żył i dlaczego był analfabeta, dlaczego nie miał możliwości uczenia się. Starzec ten przedstawił dzieciom w jasnym świetle swą krzywdę społeczną i wysiłek, uprawiany przez klasy posiadające. Młodzież była przejęta więcej jego słowami, niż moimi. Prawda życia trafiła do serc dzieci. A przez dzieci trafiamy do środowiska, przez dzieci trafiamy do serc rodziców, trafiamy tam, gdzie bezpośrednio trafić nie mogliśmy. I kiedy w ubiegłym roku zorganizowałem manifestacyjną odstawę zboża, to najpierw omówiłem z dziećmi dlaczego to robimy, dlaczego ich rodzice odstawiają zboże Państwu, mówiłem o klasie robotniczej, walczącej o lepsze jutro, nie tylko dla siebie, ale dla nich, dla ich rodziców. I mimo to, że wróg klasowy działał, mimo to, że na 12 godzin przed odstawą manifestacyjną, posypały się cegły na moją głowę, chłopcy odstawili zboże w ilości 7.600 kg. Nie ja to zrobiłem, zrzucił to dzieci.

Kazimierz Bujakowski
Sokolina, pow. Starogard

W zamku Potockich

(Historia)

OPRACOWUJĄC tematykę historyczną, która przebiega przez program klas IV, V i VI, jak np. „Dola chłopca polskiego”, oparliśmy się na tablicach ilustrujących życie chłopów w różnych epokach. Dzieci patrząc na te smutne obrazy życia swych przodków same wysnuwały wnioski, że ich życie jest lepsze, bo państwo troszczy się o dzieci, bo widzą jakie otrzymują różnice są między życiem dawnym a dzisiejszym. Odgłos tych lekcji dotarł do wsi: rodzice dowiedzieli się o tym, że szkoła pokazuje obrazy, jak to dawniej chłopca męczono. Z tego zainteresowania wynikało, że przy pomocy kolektynu rodzicielskiego urządzili wspólną wycieczkę do zamku magnata Potockiego. Wrażenia z wycieczki były olbrzymie, a jak nam było później łatwo opisać życie magnata feudalnego, jak łatwo było ukazać kontrast z życiem chłopca, który cierpiał nędzę.

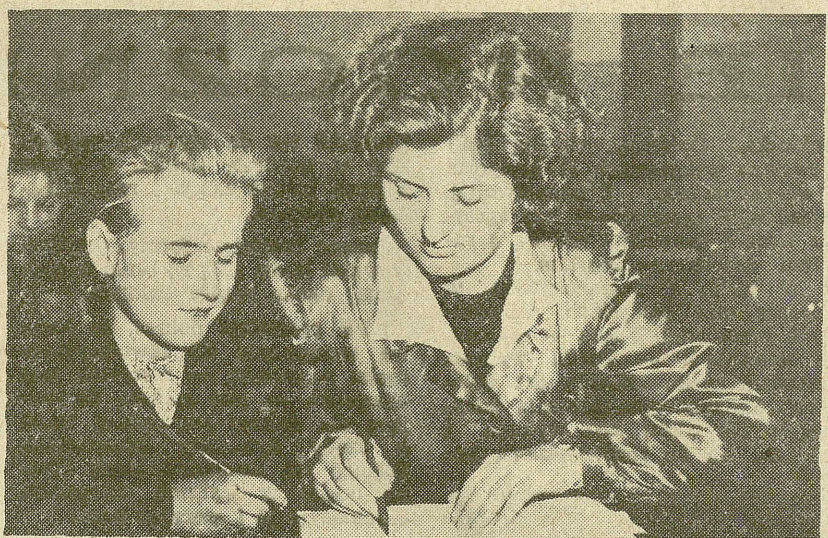
Aniela Volbertowa
pow. Rzeszów

Najurodzajniejsza ziemia

(MATEMATYKA)

Pow. Hrubieszów to krajina może najurodzajniejsza w Polsce. Chłop tutaj powinien zadać sobie sprawę, że skoro warsztatem jego pracy jest ziemia najlepsza w kraju, to z tej ziemi trzeba dać jak najwięcej. Dlatego dziecko na lekcji matematyki może sobie przedstawić potrzebne ilości środków żywnościowych na przykład dla Warszawy czy Łodzi. Dowiaduje się ile jest ludności w tych miastach, jakie spożył artykułów rolnych, wyżywienie na okres jednej osoby. Możemy wszystko i dziecko orientuje się czy chleba tego wystarczy, czy jest go za mało. Bierzemy również przykładowo ludność naszej gromady, potrzebne artykuły żywnościowe i mnożymy to wszystko przez sześć dni. Dziecko potrafi pojąć, że komu dano więcej, od tego wymaga się więcej, ziemia nasza jest dobra, to dać winna lepsze plony. I tak pytamy na lekcjach — ile twój ojciec odstał kg mięsa, ile osób pracuje? Wszystko to dlatego, aby dać pojęcie dziecku, że wciąż jeszcze mało produkujemy się produktów żywnościowych dla miasta i że wciąż jeszcze mało daje się tych produktów do miasta.

Przykład taki: „Gromada, w której mieszkam ma powierzchnię 600 ha, planowy skup zboża wynosi 250 ton — jakiej części mieszkańców i na jak długo wystarczą chleba w Łodzi czy w Warszawie?” Łącząc zadania matematyczne i tekstowe z zadaniami aktualnymi i na tej lekcji umacniamy sojusz robotniczo-chłopski.

Dziama
pow. Hrubieszów

Z działki szkolnej droga na wieś

(Botanika, biologia)

NAUCZANIE biologii, zwłaszcza botaniki w V klasie, ściśle wiąże się z działką szkolną. Działka jest nie tylko sprawdzianem nabytej wiedzy, jest także źródłem nowej wiedzy. Na działce porównujemy plony, np. w roku ubiegłym zasiałmy żyto na trzech polkach: siewem rzutowym, rzędowym i krzyżowym. Porównaliśmy plony. Okazało się, że najlepsze były na polkach, gdzie zastosowaliśmy siew krzyżowy.

Dwa lata temu po raz pierwszy na naszą gromadę nałożony został plan kontraktacji konopi. Rolnicy zakontraktowali je, ale przez nieumiejętną uprawę konopie dawały mierny plon. Dlatego w zeszłym roku były już poważne trudności z kontraktacją. Ponieważ kółko szkolne żyje zagadnieniami gromady próbowałam zasiać konopie na naszej działce w myśl wskazówek „Poradnika Rolnika”. Przygotowałam ziemię, udało mi się do meza zasieć, otrzymując odeń garść nasion, wstąpiłam i pracując z egzemplarzem w ręku starannie pielęgnowałam roślinę. Plon przerosł oczekiwania. Poszczególne łodygi sięgały 2 metrów.

Zaprosiliśmy chłopów na działkę, przyszedł, obejrzał ją dokładnie, i byli zdumieni, bo ziemia ich taka sama, jak u nas, a nawet ziemia szkolna troszeczkę gorsza niż w gromadzie, a tymczasem konopie pięknie wyrosły. — Dlaczego? — pytają.

— Sypialnie swoich dzieci. Może uam będzie wstyd, ale wiedziecie, że jest takie piśmko „Maj Poradnik Rolnika”, z którego można się wszystkiego dowiedzieć. Myśmy pracowali z tym poradnikiem w ręku.

I oto w tym roku plan kontraktacji lnu został u nas wykonany w 170 proc.

Ryszard Plotnicki
Kobierno, pow. Króleszyn

*

W OSNA przygotowaliśmy szkolną działkę pod kapustę patelną. Roślina pięknie wyrasta, ponieważ była dobrze hodowana. Rodzice przychodzili i patrzyli na tę kapustę. Obecnie przychodzą i pytają: dlaczego nie została sprzątnięta. Dzieci odpowiadają, że kapustę można pozostawić jako paszę zieloną przez dłuższy okres do wypasania.

Rezultat taki, że zgłosiło się 12 gospodarzy, którzy w przyszłym roku na większych polach chcą u siebie zasiać tę kapustę, zwiększając bazę paszową. Teren nasz nie ma luku, i gospodarz zdany jest wyłącznie na paszę wyprodukowaną na własnym polu.

Przy tym wyloniła się druga sprawa, rodzice na zebraniu wystąpili z wnioskiem wprowadzenia zimnego chowu. Przy pomocy Wszechnicy Radiowej przeprowadziliśmy odpowiednie kursy.

Dzieci same wysunęły sprawę sadzenia innych roślin poza kapustą. Zwróciliśmy się do Wydziału Powiatowego Rolnictwa i Leśnictwa, aby nam dostarczył innych roślin trwałych, które będzie można zżyć w okresie zimowym na paszę.

Na działce szkolnej dzieci pracują narzędziami przyniesionymi z domu. Dobrze byłoby, gdyby szkoła została zaopatrzona choć w najprymitywniejszy sprzęt do obróbki drewna.

Z powodu zniszczenia wsi w 75 proc. przez wojnę, wieś posiada bardzo mało drzew owocowych. Na zebraniu postanowiliśmy celem zwiększenia hodowli drzew owocowych, zasiać po cztery drzewka przynajmniej na każde gospodarstwo. Ze swych osobistych oszczędności w jesień tego roku każde dziecko zakupiło po cztery drzewka na ojcowiskie gospodarstwo, zaś Komitet Rodzicielski postanowił z własnych funduszy zakupić 50 drzewek owocowych dla szkoły.

Stanisław Michalski
Zagiewniki

W toku dyskusji O autorytet szkoły

PRACA nauczyciela idzie w dwóch kierunkach — szkolnym i pozaszkolnym. W równej mierze należy on o szkołę, jak i przebudowę społeczną gromady czy gminy.

Zapytamy: czy nauczyciel wiejski posiada obecnie pełne warunki do zrealizowania tego podwójnego zadania?

Trzeba przyznać, że nasze Władze Szkolne z roku na rok coraz wydawniej pomagają nam w uzyskaniu wyższych kwalifikacji. Otrzymujemy pomoce naukowe, piśma pedagogiczne, urządzane są stałe rozmaite kursy. A jednak, wydaje mi się, wiele szkół nie może uzyskać należytego poziomu. Dlaczego tak się dzieje?

Jest oczywiście wiele przyczyn. Jedną z najważniejszych moim zdaniem to — wciąż jeszcze niedostateczne kwalifikacje naszych nauczycieli. Ostatnie egzaminy wstępne na wyższe uczelnie wykazały słabe na ogół przygotowanie młodzieży. W dyskusji, jaka na ten temat toczyła się w krakowskim „Dzienniku Polskim” podkreślano, iż przyczyną złego przygotowania młodzieży do studiów tkwi w szkole podstawowej. Zapewne, tak to w części jest. Ale i szkoły stopnia licealnego nie są tu bez winy. Rok rocznie napływają do szkół podstawowych wychowankowie liceum, aby objąć nauczycielskie posterunki w gromadach i gminach. I cóż się okazuje? Praca nasza jest ciężka i bieżąca — jak już wspominałem — dwoma torami. Trzeba mieć wiele wszechstronnego doświadczenia politycznego, doświadczenia działacza, aby wysoko utrzymać w środowisku wiejskim autorytet społeczny szkoły. Bywa zarzucając tak, że nasz młody licealista rzuci się z zapałem w wir politycznego, gospodarczego i kulturalnego życia gminy, przełamuje z wiekzszym lub mniejszym powodzeniem napotykaną opór, organizuje zespoły świąteczne, kółka dobrego czytania, dogląda radiowęzłów, gazetki ścienne, propaguje czytelnictwo, prowadzi kółka rolnicze, przewodniczy, zagadka „justawia”, „podsumowuje”, a praca w szkole... leży.

Szkola podstawowa to nie jest tylko sprawa programu nauczania. Chociaż zrozumieć jego założenia wychowawcze, dostosować je do konkretnych warunków środowiskowych — wcale niełatwa to sprawa dla młodego nauczyciela.

Chciałbym podkreślić inny moment, a mianowicie uciążliwe zaangażowanie się w zawody nauczycielskie. Naszą pracę trzeba kochać, nieustannie zmieniać, dopasowywać do potrzeb metody pedagogiczne. Myślę, że nasz zawód jak i pisarza — nie ma schematu, wyrzeczonych formułek. A to dlatego, że podmiotem naszej działalności jest przecież — człowiek. Odczuwa się często pewien podstawowy brak w naszej pracy. Jest nim niedostateczne poznanie złożonej nieraz psychiki ucznia. Niezbyt przyczyn, wpływających z warunków domowych, stosunku rodziców, braci, stosunków ekonomicznych, tradycji, przyszykanych rodzinnych kształtów postawy życiowej ucznia. Przecież co chłopca na wsi, to inna problematyka! Nasz młody nauczyciel nie ma czasu na wnikliwą analizę specyficznych, indywidualnych warunków pracy i życia ucznia, gdyż jest przeciążony pracą społeczną.

Jest i inna strona tego samego zagadnienia. Aby należycie uczyć nie wystarczy samo posiadanie określonej ilości wiedzy, samo wyrobienie ideowe, znajomość metod nauczania i wychowania. Z tych zalet jeszcze jest dobrego nauczyciela nie ulepi. Chodzi o stałe doskonalenie się. Życie w Polsce Ludowej olbrzymim wprost krokiem pędzi do przodu, z dnia na dzień wywołują nowe problemy i zagadnienia, które wymagają od nas nieustannego uzupełniania wiedzy i stałej obserwacji ich wyglądu w praktyce. Bo bez tej intelektualnej żywości, bez nieustannego dopędzania postępu wiedzy, nie można mówić o należycie pracującym nauczycielu.

I tu powracamy do prawdy nie raz już podkreślanej. Jesteśmy przeciętnymi pracami społecznymi. Pokutują na naszym terenie jakieś teorii, z których wynika, że nauczyciel to rodzaj społecznego magika, który musi znaleźć lekarstwo na wszelkie terenowe bolączki i niedomagania.

„Wieś” niejednokrotnie ukazywała drogi wyjścia. Wychować szeroki aktywny, który odciąży nas w robotach. Szuszenie. Tylko, że dotąd nie mieliśmy w tym zakresie poważnych trudności. Wypuszczamy dużo zdolnej, pełnej energii społecznej młodzieży. Ale porzucamy dużo rodzinne strony, nie znajdując należytego ujścia dla swych zdolności i możliwości twórczych. Być może, nie pokazywaliśmy jej wystarczająco perspektyw związanych z pozostaniem w gminie. Po IX Plenum perspektywa postowania w kręgu rodzinnych wsi przedstawia się zupełnie inaczej niż dotąd. Szerokie możliwości inwestycyjne, jakie wleć uzyskuje, większy napływ maszyn, rozbudowa POM-ów i GOM-ów — wszystko to — rzecz prosta — upłynie zachęcająco na młodzież. Jest oczywiście naszym najbliższym zadaniem przedyskutowanie z młodą aktywnością szerokich możliwości pracy na wsi, jakie otwiera nowy etap.

Henryk Szulc



K. Meyer z członkami kółka traktorzystów.

KÓŁKO TRAKTORZYSTÓW

(Fizyka)

Będę mówił o pracy kółka traktorzystów w oparciu o nauczanie fizyki i odwrotnie, o nauczaniu fizyki w powiązaniu z pracą kółka traktorzystów. Plan nasz obejmował poza traktorem zapoznanie z maszynami rolniczymi, ciągniętymi przez traktor, jak również naukę jazdy. W pracy stosowaliśmy różne formy. Były to pogadanki i referaty uczniów, były ćwiczenia praktyczne, tych najwięcej, dyskusje i wycieczki.

Sam dotąd wiedziałem na ten temat bardzo mało. Musiałem się więc doszkalać. Pomocą były mi czasopiśma fachowe, książki, rozmowy z mechanikami i traktorzystami, demontaż i montaż części traktorów. Gdy już trochę zapoznałem się z tymi złożonymi maszynami, przystąpiłem do werbunku członków. Dzieci chętnie zgłosiły się do nowego kółka. Zgłoszyli się również i dziewczęta. Ale gdy przyszło wziąć do ręki klucze lub młot, to przycięli, tam przybił, wtedy dziewczęta zaczęły odpaść. Obecnie, przy nowym werbunku stanowią one już połowę członków.

Żeby prowadzić pracę w kółku, trzeba było mieć pomoce naukowe. Jakże! Takie, jakie występują w traktorze. Były to rozmaite części silnika, podwozia i inne, które dostaliśmy z POM lub z sąsiedniego PGR. Zapewniliśmy sobie również pomoc mechaniczną i traktorysty z POM, pożyczono nam też traktor do nauki jazdy.

Chodziło mi nie o nauczanie dzieci jazdy na traktorze, nie o przygotowanie traktorzystów, ale o to, aby dzieci nauczyły się posługiwać narzędziami, z jakich będą korzystały w pracy rolniczej, żeby nauczycieli się posługiwać przyrządami pomiarowymi, z którymi spotykają się kiedyś w swojej pracy na roli, żeby zapoznały się z działaniem maszyn, żeby umiały powiązać zdobytą wiedzę na lekcjach fizyki z życiem praktycznym, żeby wiedzieli na jakiej zasadzie opiera się działanie tej czy innej części maszyny. Prace w kółku odbywały się raz w tygodniu. Na takich zajęciach dzieci zapoznawali się z poszczególnymi częściami traktora, robili obliczenia, wykresy, modele poszczególnych części, a wszystko to, jak mówiłem, było oparte o nauczanie fizyki.

Duże korzyści przyniosły nam rozmowy z traktorzystami, których zapraszaliśmy na zebrania kółka. W rozmowach tych traktorzyści jako specjaliści mówili o zasadach naukowych, ale gdy szło o zasady naukowe dzieci lepiej rozumiały fizykę, potrafiły zastosować prawa fizyczne na maszynach, którymi posługują się ich ojcowie.

Jeżeli się mówiło o sprzęgle, to dzieci wiedziały, że ma tu miejsce

tarcie, podobnie z łózkami kulowymi, jeżeli mówili o toku, chwytali zagadnienie ciśnienia. Tak samo kiedy mówiliśmy o waleu korbowym, chłodnicy itp.

Przyszła chwila, kiedy dzieci miały zacząć naukę jazdy. W pierwszym dniu wielu gospodarzy wyszło na plac, na którym odbywała się nauka. Każdy chciał patrzeć na swoje dziecko, jak siada za kierownicą, jak się będzie obchodziło z traktorem, tak drogową maszyną w życiu rolników. W czasie walek letnich chłopcy z klasy siadali w PGR-ach jako pomocnicy traktorzystów.

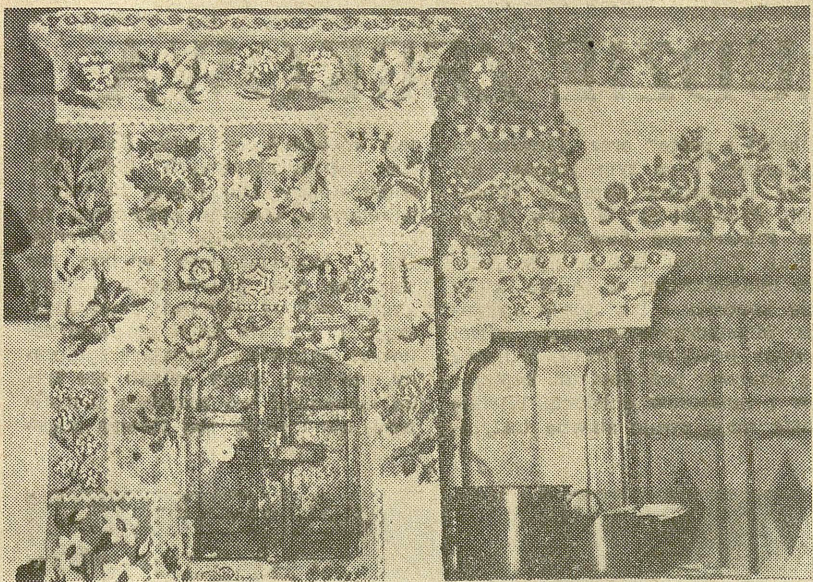
Poza tą formę pracy, jaką jest kółko traktorzystów, stosujemy wycieczki produkcyjne. Dzieci przychodzą do ośrodka maszynowego, czy do PGR i tam dokładnie zapoznają się z uświadłką, poznają nie tylko części robocze, ale równocześnie wyszukują części wspólne i typowe dla wielu maszyn, odgadują jakie prawa fizyczne nimi kierują. Zatrudniane są przy przyjmowaniu pewnej ilości zboża, ważeniu itp. Tam można było powtórzyć, uzupełnić i ugruntować cały dział fizyki. Również na tych wycieczkach dzieci obliczały wydajność pracy na maszynach, np. że snopowiazka traktora zastępuje pracę 80-ciu kosiarzy ręcznych.

Ktoś tu powiedział, że chłop nie chce nowych maszyn, bo jest konserwatystą. Mnie się zdaje, że jeśli tak się zdąży, nie wypływa to z niechęci do maszyn, ale dlatego, że chłop jej nie rozumie, nie wie co ona mu może dać. I tu występuje zadanie szkoły podstawowej — nauczyć chłopca o prawach działania maszyn.

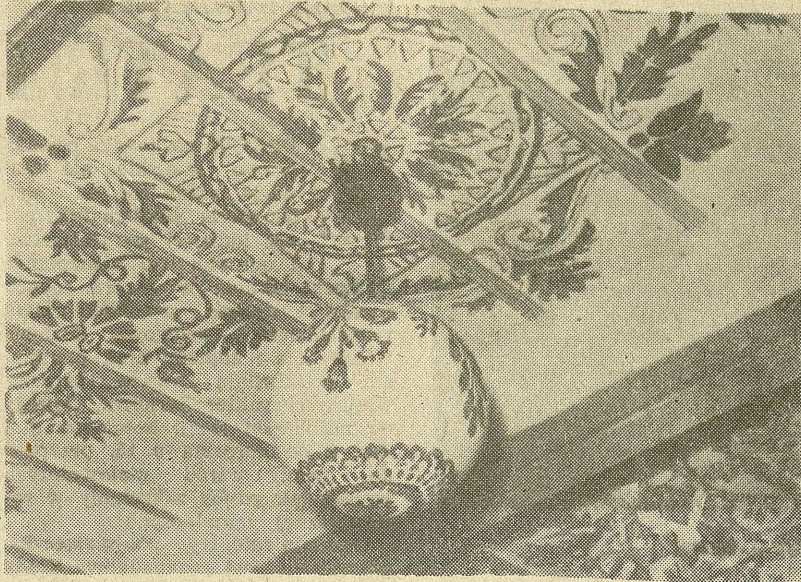
Na wycieczkach do maszyn rolniczych wystąpiła sprawa sojuszu robotniczo-chłopskiego. Dziecko zapoznając się z uświadłką dowiadywało się, że została ona wykonana w Dobrym Mieście. Dziecko usłyszało, że robotnik przygotowuje dla chłopca piękne maszyny, które ułatwiają mu pracę — zmniejszają wysiłek, za co chłop daje robotnikowi część plonów swojej pracy i te pozytywne osiągnięcia na odcinku sojuszu robotniczo-chłopskiego osiąga się bez gadania, jako jedno zadanie wypływające z drugiego. Gdy omawialiśmy np. sadzarkę do kartofli, dzieci same zwróciły uwagę, że jest to sadzarka radziecka, gdy jechali na Zetorze, wiedzieli, że to maszyna czechosłowackiego narodu.

Za wzorem naszego kółka traktorzystów na terenie naszego województwa powstało już obecnie takich kółek ponad 40.

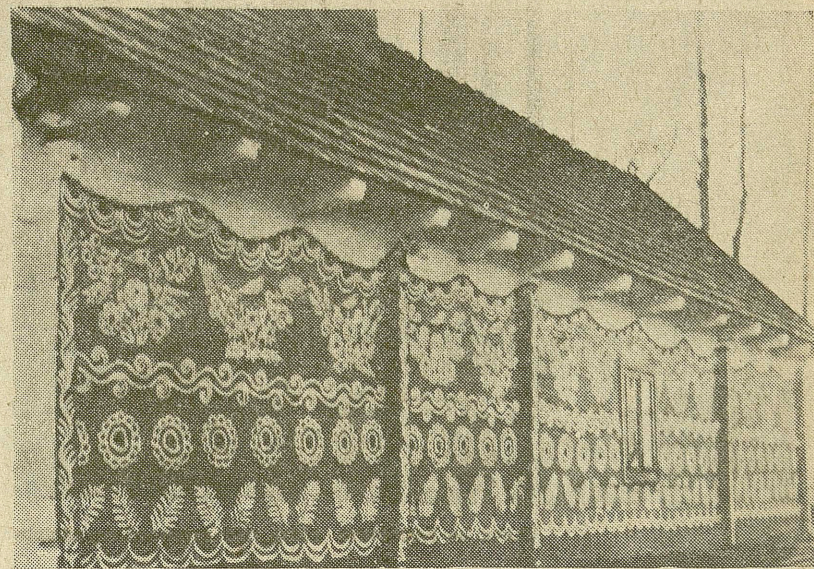
Kazimierz Meyer
Kwiecień, pow. Lidzbark Warmiński



Malowany piec chlebowy w izbie Felicji Kosiniakowej.



Bogato zdobiony pulp w izbie Felicji Curyłowej.



Tylna ściana domu Kosiniaków.



Przewodnicząca zespołu malarek Felicia Curyłowa przy pracy.

BARBARA LIPiŃSKA

Zdjęcia ANDRZEJA MUŚIAŁA

„Malowana wieś” Zalipie

Dzięki pracy zalipiańskich kobiet plastyka ludowa na polskim statku doznała słusznego zaszczytu reprezentowania kultury polskiej w wielu portach świata.

Za tym wyróżnieniem przyszło następne. Inż. Barbara Brukalska sprowadziła zalipianki do Warszawy na odbudowywany się Rynek Staromiejski, prosząc o pomalowanie w zalipiańskie wzory pulapu w sklepie „Desy”. „Curyłkę” znalazł wtedy cały Rynek Staromiejski; gromadzili się wokół niej robotnicy, chętni do pogawędzek z zalipiańskimi malarkami. Ileż w trakcie tych dyskusji (nieraz bardzo gorących z racji temperamentu Curyłowej) wyjaśniło się niezrozumiałych dotąd problemów! Na ileż znowu poszerzył się świat i widzenie jego spraw!

Po tych radosnych wyprawach trzeba było wrócić do rodzinnego Zalipia — i w nim pracować.

Dumni są z nich teraz zalipiańscy gospodarze. Mówią oni:

„Nasze kobiety przyniosły do Zalipia światło”.

Warto tu wspomnieć dni Zjazdu Szczecińskiego. Felicia Curyłowa śmiejąc się opowiada, że miała zamiar zawieźć do Szczecina lampę naftową, aby pokazać, jak trudno jest malować przy jej oświetleniu. Stając wtedy na trybunie oświadczając, że nie będzie mówiła o pracy zalipiańskiego ośrodka tak długo, jak długo nie otrzyma przyrzeczenia, że Ministerstwo Kultury i Sztuki pomoże w zelektryfikowaniu Zalipia.

Nie pomogły obietnice, że elektryfikacja wsi zajmie się Ministerstwo Rolnictwa. Curyłowa szybko znalazła i na to odpowiedź:

— „To prawda, że jestem w rolnictwie; jestem jednak i w kulturze i tego się trzymam”.

Władza ludowa uczyniła zadość prośbie zalipianek: tej jesieni po przez rozmokłe pola popłynął do Zalipia prąd elektryczny.

Jak widzimy, zalipiańskie malar-

ki zrozumiały swoją rolę w budującym się nowym społeczeństwie. Zalipie, od lat toczy walkę z obciążeniami, które wytworzyły rozdrobnione, niespełna dwuhektarowe gospodarstwa. Każdy rok przynosi tu poprawę. W roku bieżącym wyraźnie wzrosło wśród zalipiańskich gospodarzy poczucie obowiązku wobec państwa; mimo gorszych zbiorów zboża Zalipie wykonało plany skupowe w 100 proc.

Wieża ta wyraźnie wzrasta i rozwija się.

W odległości 4 kilometrów od Zalipia rozpoczęły się prace nad umocnieniem rzeki Zabiniec. Przyciągała też budującą się Nowa Huta. Powędrowało tam do pracy kilkunastu zalipiańskich chłopów. Niedzielne powroty do wsi, długie opowiadania o nowych formach pracy bezpośrednie zetknięcie się z podkrakowskimi robotnikami — zrobiły swoje. Duch zespołowej pracy stworzył zupełnie nowych ludzi. Ich powrót do wsi pomaga w dojrzewaniu zalipiańskich chłopów.

To właśnie tłumaczy podjęcie przez całą wieś pracy przy budowie robót melioracyjnych celem osuszenia straszliwego zalipiańskiego błota. Zapoczątkowanie tych prac dla uczczenia II Zjazdu Partii, nadało konkretą formę chęci podążania naprzód. Potwierdza to entuzjazm, z jakim wieś przyjęła projekt założenia poletek doświadczalnych. Szkoda tylko, że prelegenci powiatowi, obiecując dostarczenie nawozów sztucznych, po pierwszej bytności w Zalipiu nie pokazali się więcej we wsi — i nawozów nie przysłali.

Czytelnicy mieli by prawo zapytać: dlaczego piszemy o gospodarce Zalipia w artykule poświęconym ludowemu malarstwu? Upoważnia nas do tego następujący fakt:

Kilka dni temu Curyłowa, w momencie odbierania nagród dla swego zespołu, mówiła o swoich obowiązkach wobec społeczeństwa. Pragniemy więc wspólnie z dwu-



Druga z zalipiańskich bohaterek — Felicia Kosiniakowa obok wymalowanych budynków gospodarskich.

dziesiątoma malującymi zalipiankami ustalić zadania, które sztuka ich winna wypełnić. Ułatwia to fakt, że artyści ludowe są w okolicy bardzo popularne i że wzrasta uznanie dla ich twórczości, propagowanej m. in. przez dzieci szkolne. Uczyszczając bowiem do szkół w sąsiednich wioskach, dziesiąta szkolna przynosi tam zalipiańskie tradycje, budząc zainteresowanie malarstwem. To sprawia, że malarstwo zalipiańskie rozwija się, rozszerza na nowe tereny, wzbogaca swą tematykę.

U starszych kobiet na wzbogacenie tematyki oddziałują także ich przeżycia, wspomnienia, zasyłane rozmowy, toczące dyskusje. Ich wyrazem są malowane tematy: Curyłowej: „Zalipie dawniej”, „Moją zagrodą zelektryfikowaną”, „Budowa Pałacu Kultury i Nauki”, oraz powracające w obrazach Kiwior, Felicji Kosiniak, Rozalii Janeczek motywy budowy Nowej Huty.

Dotykamy sprawy dla Zalipia najboleśniejszej. Młodzież zalipiańska maluje obrazy z życia świetlicowego; są one jednak (to pozornie wygląda na paradoks) wytworem ich bujnej wyobraźni! Bo w ośrodku, nabrzmiałym tradycjami kulturalnymi, do tej pory nie ma świetlic! Jest to tym przykrejsze, że zalipianki swą piękną sztuką mogą stworzyć ze świetlic żywe muzeum swego regionu.

W Zalipiu nie jest jeszcze łatwo gospodarować. Brak w okolicy wzorów pracy zespołowej; brak też maszyn rolniczych.

Dużo jest jeszcze w Zalipiu do zrobienia. Trzeba się tu zająć propagandą książki, organizować wieczory dyskusyjne, zadbać o dojazd kina; trzeba też mówić o trudnej gospodarce na rozdrobnionych płachetkach ziemi i o sile mądrego gospodarującego kolektywu.

Nie brak we wsi własnego materiału na zbudowanie świetlicy: trzeba tu tylko rozbudzić chęć stworzenia wspólnego ogniska kultury. Malarki próbowały urządzenia w swoich własnych domach czegoś w rodzaju świetlicy: zbierano się w niej w niedzielne popołudnia na sąsiedzkie pogawranki. Nie dało to jednak oczekiwanego rezultatu.

Wież zalipiańska zdolna jest wysoko podnieść poziom swego życia kulturalnego i gospodarczego. Ogromna jej siła tkwi w 20 malarkach — przodujących kobietach tej wyjątkowej gromady. Zorganizowane w zespół, mogą one stać się zarzewiem

rewolucji kulturalnej. Aby jednak zdolne były to uczynić, muszą działać kolektywnie i swymi uzdolnieniami organizatorskimi porwać za sobą wieś.

Krzywdą nie tylko dla zespołu, lecz i całej wsi byłoby niezdrowe ambicje wybiecia się, zmonopolizowania w swoim ręku zdobytych na kursach wiadomości, mogących podnieść poziom artystyczny reszty malarek. Od okresu, w którym ich babki i matki malowały sadzami białe ściany chat, minęło wiele czasu. Curyłowa, rozpoczynająca swą działalność od malowania na papierze pakowym, była już kilkakrotnie na kursach w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego. Zajęli się nią troskliwie zawodowi plastycy i architekci. We Włocławku poznała sposoby zdobienia wyrobów ceramicznych. Nauczyła się utrwalać barwne wzory na tkaninach. To, że jej wzory z podpisami rozchodzą się po całej Polsce — zobowiązuje ją do troskliwej opieki nad towarzyszami.

Zalipiańskie malarki często wyjeżdżają do innych środowisk, poznają wielkie nasze budownictwo i życie całego kraju.

Przenoszenie doświadczeń socjalistycznego budownictwa na teren własnej wsi jest dla zalipiańskich malarek jednym z najbardziej ważnych zadań. Muszą one stawać się coraz bardziej odpowiedzialnymi za to, co się we wsi dzieje.

Radosnym jest zapewnienie Felicji Curyłowej, że w okresie zimowym zalipianki będą więcej czytać i dyskutować o książkach, że zdobędą radio, że będą zdobywać coraz więcej wiadomości i przekazywać je młodszym koleżankom. Ośrodek zalipiański stworzyła praca kilku najbardziej zdolnych kobiet; rozwinąć go i uumać może tylko cały kolektyw. Na Zjeździe Twórców Ludowych prof. Seweryn powiedział zalipiańskim kobietom: „Do tego czasu podawano wam rękę, traktowano was niejednokrotnie jak dzieci, które trzeba uczyć chodzić. Przyszedł już czas, abyście same pomyślały o swojej przyszłości, same rozpoczęły propagandę w swoim zespole. To będzie najpiękniejszy czyn waszego ośrodka”.

Na taki czyn, na pomoc kobiet zalipiańskich w organizacji życia kulturalnego rodzinnej wsi, na pomoc w przekształcaniu jej gospodarki — liczą dziś szerokie warstwy społeczeństwa.

BARBARA LIPiŃSKA

W ŚRÓD łagodnych nadwisiańskich wzniesień, w odległości 30 km od Tarnowa leży Zalipie — wieś znana dziś w całej Polsce. Droga do Zalipia rozmokła od jesiennych błot, ale trud jej przebycia sownie się opłaca. Bo oto przed oczyma wędrowców wyrasta mnóstwo wiejskich domów o malowanych podcieniach, zdobionych bogato barwnymi wzorami pięknych kwiatów.

Historia zalipiańskiego ośrodka — to jednocześnie historia kilku zalipiańskich malarek, które swoim długoletnim upartym trudem stworzyły nową dziedzinę sztuki ludowej i w wiosce, zagubionej wśród błotnistych gród, utrwaliły piękno ludowej tradycji.

Opowiadania ich sięgają okresu, gdy w Zalipiu nie było jeszcze malowanych izb. Matki naszych malarek nie znały jeszcze misternych wzorów kwiatowych. Wystarczyła biała ściana z „paczkami” sadzy. Za pędzel służył przekrojony na czwartki kartofel.

Tak zaczęła się „malowana wieś”. Jeszcze do dziś dolne części pieców zalipiańskich zdobione są prostym szlakiem wyczerpionym sadzami. Tyle zostało z dawnego.

O barwnych kwiatkach, malowanych na ścianach pieca, na belkach sufitu, na zewnętrznych ścianach domu, Felicia Curyłowa i Kosiniakowa — najstarsze z zalipiańskich artystek — marzyły od najmłodszych lat. Smutne było ich dzieciństwo; opromieniała je zaledwie czteroletnia nauka w zalipiańskiej szkółce. Jedyną pociechą było malowanie; i to ukradkiem, bo rodzice nie pozwalali na „marnowanie” pieniędzy na drogie farby i papier. Dopiero po dłuższym czasie zrozumieli, że nie są to tylko „dziecinne zabawy”, że budzą się w ich dzieciach wielkie talenty, wyrosłe z obserwacji i współżycia z wiejską przyrodą.

Wtedy już nie bronili więcej pędzla; wprost przeciwnie — sami prosili o przyozdobienie wnętrza swych izb. Kwiaty, wyrosłe na ścianach domów Curyłowej i Kosiniaków szybko przewodziły do innych zagrod. Wieś zalipiańska stawała się coraz bardziej strojna.

W r. 1925 zainteresował się zalipiańskimi malowniczymi prof. Seweryn z Muzeum Etnograficznego w Krakowie. Obserwując rozwijający się coraz potężniej artystyczny zalipiański kolektyw, zabierał ich prace do Krakowa; ale pomóc ludowym malarkom nie mógł, bezsilny wobec lekceważenia ich wspa-

niałego dorobku. Z okresu przedwojennego pozostało w Zalipiu tylko wspomnienie wieczorów, spędzanych przy lampie naftowej — zycia, zamkniętego w ciasnym, duszącym kręgu biedniackich zagrod.

Wraz z wyzwoleniem Zalipie doczekało się odrodzenia zapomnianej sztuki. W r. 1948 przyjechali do Zalipia przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki, którzy — według słów Curyłowej „po dwie pary butów znosili na nasze zalipiańskie błoto, byle tylko naszą sztukę z Zalipia wyciągnąć i pokazać narodowi”. Obejrzały malowane chałupy, zabrali z sobą do Krakowa stare wyblakłe malowanki, zorganizowali wystawę i konkurs na najpiękniej urządzone izbę.

Zapoczątkowało to wielki ruch w zalipiańskich zagrodach; starsze już, zmęczone życiem kobiety zrozumiały nagle, że sztuka ich stała się komuś potrzebna, że nadszedł czas pokazania jej oryginalnego piękna. Felicia Kosiniakowa do dziś jeszcze pamięta dzień, w którym wraz z Curyłową otrzymała pierwszą nagrodę za swoją izbę.

„Rozplakałam się wtenczas z radości — opowiada. — Nie dlatego, że wzięłam pieniądze, lecz dlatego, że zrozumiałam, jak bardzo Rząd Polski Ludowej o nas się zatroszczył i wynagrodził za tyle lat trudnej pracy”.

Od tego czasu rosła popularność Zalipia. W roku 1951 Komisja Ministerstwa Kultury i Sztuki przy udziale plastyka Lecha Grzeszkiewicza i inż. arch. Barbary Brukalskiej, zaprosiła cztery zalipiańskie malarki: Curyłową, Wojtyło, Kiwior i Kosiniakową do zdobienia jednej z sal na statku „Batory”.

Po raz pierwszy znalazły się zalipianki między ludźmi z całej Polski. W czasie pobytu na statku w długich dyskusjach z marynarzami poruszały sprawy, które daleko wykraczały poza ich własne podwórko; należały do nich odbudowa kraju, rozwój przemysłu i handlu.

W parę z szybkim poszerzeniem się horyzontów myślowych przyszło również zapoznanie się z nową techniką malarską kazeinowo-woskową. Tu — w zestawianiu technicznych farb — potrzebna była pomocna dłoń architektów i zawodowych malarzy. Jeśli jednak chodzi o kompozycję motywów kwiatowych i zwierzęcych, malarki otrzymały zupełną swobodę.

Wynik przeszedł wszelkie oczekiwania: bawialnia dziecięca, wymalowana w zalipiańskie wzory, uderzała niepowściągliwością i pogodnym, ludowym charakterem malarstwa.



Ceramika, zdobiona zalipiańskimi wzorami.

WANDA KARCZEWSKA

PIEŚŃ O ZIEMI MAZURSKIEJ

(fragment poematu)

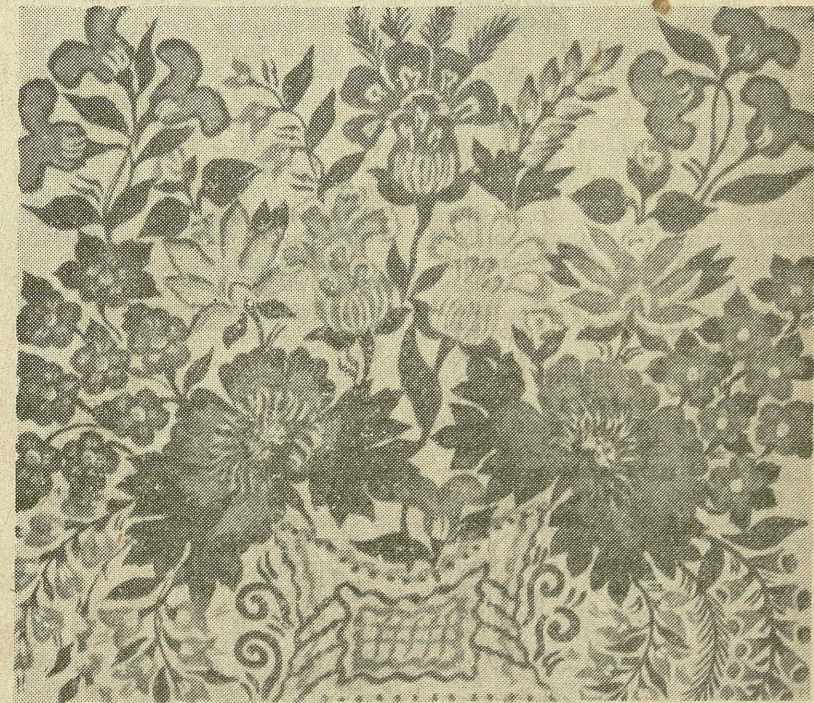
„O ojczysta nasza mowo,
coś kwitnęła nam przed laty
zakwitnijże nam na nowo
jako kwitną w lecie kwiaty.”

Michał Kajka

Ty co po wiekach do ojczyzny
jak utracone dziecko wracasz,
pieśni mazurską, gminna, nasza,
przywolań mi przed oczy, przyzwij
miasta wśród puszczy ogromnych jezior,
jodeł i jasných brzoź obłoki,
gdzie wiosk w wzgórzami leżą
w ciszy zielonej i głębokiej.
Te drogi wiejskie i piaszczyste,
oczekujące rdzy kropkami,
gdy wiatr jesienny zrywa liście
i rudość drzew okrywa mgłami.

Noce wysokie, księżycowe
nad wód głębinami, tam gdzie sioła
ocienia leśny głóg i paproć, —
w was to wszeptował polską mowę
lud, gdy renegat w szkole zdołał
ojczysty język dzieciom zabrać.
Tyś to, Mazurko posiwiła,
kurlantkę — córkom swoim w wianie
przekazał, polską pieśń, umiałś
o „zianku” ślubnym, o kochaniu.
Ciebie ojczysta polska mowo,
coś tu kwitnęła nam przed laty,
wpisywał w deskę sośninową
poeta cieśla i bohater.

Mazury, Warmio, po twych ścieżkach
idąc, niejeden z twoich synów
zapłakał gorzko łzami dziecka,
gdy mu ślad Polski z oczu ginał.
W opłotkach jarzębina krwawa
o dniach niedawnych mi szeleści,
jak z nich niejeden życie dawał,
że nazbyt kochał ojców pieśni.
Że jak gałęzie z pnia oddarte,
jałowca krzew wyrwany z ziemi,
zbierał te pieśni co uparcie
żyły przez wieki tu i będą
trwały — dopóki my żyjemy.



Wzory zalipiańskie, stosowane przez Instytut Wzornictwa Przemysłowego do zdobienia tkanin.



Chłopi ze Smonowic radzą nad sprawami czytelnictwa — fot. A. Musiał

ZOFIA SZPROKOFF

W SMONIOWICACH

„Teraz n'e ma panów, chłop pracuje 'żej i więcej ma z tego, a wszystko to dla siebie”.

„Człowiek w carskiej Rosji traktowany był jak bydlę robocze. Dopiero w Wielkiej Rewolucji Październikowej lud rosyjski wywalczył sobie wolność. I my Polacy byliśmy w takiej niewoli — choć niby wolni, a potem pod okupacją hitlerowską. Armia Radziecka wyzwoliła nas z tych podwójnych kajdan. Wyzwolił nas prosty radziecki człowiek pod Stalingradem. Zrozumiałem to ja — stary człowiek, gdy przeczytałem „Dni i noce”.

Dwie te wypowiedzi Michała Kulczyckiego i Pawła Chrzanowskiego dzieli rok czasu. Rok, który minął między drugim, a trzecim etapem konkursu czytelnictwa, posunął w Smonowicach wiele spraw naprzód.

W dwóch pierwszych etapach konkursu przeważała w lekturze czytelników ze Smonowic nowela pozytywistyczna. Sięgając po nią znajdują w „Antyku”, „Janku Muzykancie”, „Szkicach węglem”, „Bartku zwycięzcy” czy „Za chlebem” nie tylko obraz doli chłopów sprzed lat 70-ciu. Był w nich zawarty także jakiś fragment ich życia, ciężki i beznadziejny. I dlatego nowela pozytywna ułatwiała im porównanie starego z nowym, decydowała w dużej mierze o akceptacji nowego życia. Ale poza nią nie widła. Przeważająca ilość chłopów ze Smonowic uważała, że to nowe życie, które przyszło po r. 1945, jest dla nich już ostatecznie ukształtowane. Reforma rolna była w ich pojęciu ostatnim ogniem w łańcuchu przemian.

„Teraz nie ma panów, chłop pracuje mniej i więcej ma z tego a wszystko to dla siebie” — Te słowa Michała Kulczyckiego wyznaczały pozycję, na jakich stali chłopcy w Smonowicach jesienią 1952 roku. Wrośnięci w krąg swoich gospodarstw — oto, jak można było je określić.

W 1951 i 1952 r. dla chłopów ze Smonowic ostateczną i jedyną miarą wydarzeń był ich osobiście, w oderwaniu od ogólnych przemian, potraktywany los.

Z wypowiedzi Chrzanowskiego widać, że w ciągu roku mieszkanki Smonowic nauczyli się patrzeć na swoje życie w powiązaniu ze sprawami toczącymi się w całym kraju. Książka radziecka była szkołą świadomości politycznej i wytworzyła.

„Mnie z przeczytanych książek najbardziej podobała się „Rzeka ujarzmiona” — pisał w trzecim etapie konkursu czytelnictwa 17-letni Tadeusz Augustyniak — człowiek radziecki potrafił przezwyciężyć siłę potężnej rzeki. Wielką siłę stanowili na budowie komсомольcy. Nie zrażał ich mróz, ani upał letni. Wspinają się wysoko na rusztowania i zanurzają się głęboko pod wodę. Podjęte współzawodnictwo przyspiesza budowę zapory i daje możliwość ujawnienia i rozwinięcia zdolności młodych dziewcząt i chłopów.

Młodzież z naszej wsi, ZMP powinna tworzyć swoje życie, tak jak tworzyła je młodzież „Rzeki ujarzmionej”. W naszej gromadzie sprawa czytelnictwa i świetlicy powinna stać się sprawą młodzieży. Nie chodzi tylko o nasze lepsze życie, ale też o to, że w ten sposób wychowuje się świadomych obywateli Polski”.

W jakiej sytuacji znajdowała się wtedy, gdy mówił Augustyniak, młodzież ze Smonowic?

Prawie wszyscy z dawnych członków koła ZMP wychodzi do pracy w Nowej Hucie w Sosnowcu. Jesienią 1952 r. większość młodych chciała odejść ze Smonowic. Z zadrążką mówiła Władysława Kubiś o swoich koleżankach, które pracują i uczą się w mieście. Nie wielu tylko, jak Mieczysław Nowak, było „zamiatanych w gospodarstwie”, niewielu widziało możliwości pełnego i szczęśliwego życia w swojej wsi. Ci, którzy pozostali, tacy właśnie jak Mieczysław Nowak, jak Tadeusz Augustyniak, który wrócił po skończeniu szkoły do domu — chcieli stworzyć nowe, lepsze życie na miejscu w Smonowicach, choć niejako jeszcze widzieli, jakie drogi prowadzą do niego.

Dlatego ich ulubionym bohaterem jest młodzież „Rzeki ujarzmionej”. Nie szukają przy tym gotowych schematów rozwiązań, lecz wzorów postępowania, wzoru postawy wobec życia.

Świetlica, czytelnictwo mają być

dla nowo zorganizowanego koła ZMP pierwszą pracą na drodze wiodącej do zrealizowania tego planu. Na zebraniu organizacyjnym koła ZMP, 29 listopada br. omawiana była sprawa udziału ZMP-ców w czwartym etapie konkursu czytelnictwa. Stworzą oni dwa zespoły, wezmą udział w rekrutacji czytelników. Na wiosnę pomogą w opracowywaniu wypowiedzi konkursowych.

W lekturze czytelników ze Smonowic zajęły w trzecim etapie konkursu znaczne miejsce książki radzieckie. „Szosa Wołokolamska”, „Opowieść o prawdziwym człowieku”, „Dni i noce”, „Młoda Gwardia”, „Kawaler Złotej Gwiazdy”, „Zorany ugor”. W sytuacji, jaka wytworzyła się w ciągu ostatniego roku w gromadzie, chłopcy ze Smonowic poszukiwali w nich rozwiązań dla zagadnień, które stanęły przed ich wsią.

Przez cały ubiegły rok żywą była dla Smonowic sprawa Michała Kulczyckiego. W roku 1952 w lecie gromada odkryła, że gromadzone przez nią od paru lat pieniądze na budowę świetlicy, oddane do dyspozycji komitetu budowy, do którego wchodził również Kulczycki, częściowo zostały zaprzeczające. Oburzenie ludzi było wielkie. Michał Kulczycki usunął został ze stanowiska radnego, drugi z członków komitetu Edward Łój ustąpił musiał ze stanowiska przewodniczącego koła miczurinowskiego. Jednak gdy cała gromada przysąpiła do zwózki materiałów na budowę, wzięli i oni w tym udział. Jednak i z tego winy zamarowały się pieniądze gromadzkie. I nie zmienia sensu sprawy fakt, że zwrócił on część pieniędzy, uznając swoją winę, swoją lekkomyślność. Jednocześnie jednak to przodujący gospodarz. Przecież to on, a nie ktoś inny został wyróżniony w tegorocznym skupie zboża, on hoduje 25 świń. Jest zawsze pierwszym, który przeprowadza doświadczanie w kółku miczurinowskim; w tym roku jako jeden z trzech gospodarzy Smonowic siał wójkę ozimą. On też był inicjatorem czynu Pierwszomajowego, współzawodnictwa o większą wydajność z hektara i podniesienia hodowli. Winy jego były duże, tym bardziej, że prowadząc spór z nauzczykiem Zdenkowskim, któremu zarzucał zaniedbywanie szkoły, odciągał ludzi od udziału w trzecim etapie konkursu czytelnictwa, który prowadził Zdenkowski. Aktywni gromadzi nie umiał rozstrzygnąć pytania — wróg czy człowiek błędny. A to w dużej mierze zdemobilizowało gromadę, rozbiło jej jedność, spowodowało, że w trzecim etapie konkursu brało udział zaledwie około 50 osób (na 150 w etapie drugim), to spowodowało, że budowa świetlicy utknęła na martwym punkcie. Dlatego sięgając po książki szukają w niej czytelnicy ze Smonowic odpowiedzi na to pytanie. I znajdowali.

„Zorany ugor” ukazuje życie wsi radzieckiej przed kolektywizacją, ukazuje walkę o kolchoz. To piękna książka, bo pokazuje jak trudna była walka, pokazuje jej przebieg, jej metody. Magulnow nie umiał przekonać ludzi. Gdy sam widział słuszność drogi, po której szedł, uważał, że i inni bez zastrzeżeń powinni nią pójść. A ludzie często dlatego, że czegoś nie rozumieją, nie pójdą tam, gdzie ich dobro i dobro wszystkich. Inne metody miał Dawydow. Postawił sobie za zadanie zjednać, przekonać ludzi — argumentami, przykładami. I tym skuteczniej zwałzał uprzedzenia ludzi i działanie wrogów. Kwestia metod postępowania walki z wrogiem i przekonywania błądzących jest sprawą dla Smonowic bardzo ważną. Nie dziwnego więc, że Augustyniakowa zwróciła na nią przede wszystkim uwagę w „Zorany ugorze”, nie dzwignę, że mówił o tym w rozmowie Stanisław Szastak, Mieczysław Manterys. Tak od lektury powieści dochodzą czytelnicy ze Smonowic do spraw kluczowych dla życia całej gromady.

Drugą grupą przeczytanych w trzecim etapie konkursu czytelnictwa były książki gospodarcze. Doświadczanie kółka miczurinowskiego, które powstało w roku 1951 i lektura broszur rolniczych ukazują chłopom ze Smonowic wielkie możliwości jakie tkwią w ich gospodarstwach.

„Książka nauczyła mnie dużo i przez nią otrzymałem lepsze plony w polu i w ogrodzie” — pisał Piotr Bielawski — sam mając kilka drzew owocowych postanowiłem uścisłachnić je korzystając z pomocy

cy książek i zacząłem szepścić jedną odmianę na innej podstawie. W ten sposób otrzymałem lepsze owoce, a drzewa rodzą więcej”.

„Ja podziwiam te osiągnięcia jakie mają w Związku Radzieckim różne odmiany zbóż miczurinowskich o jakich czytałem w broszurach. Dlatego gdy dowiedziałem się, że w sąsiednim PGR czynione są doświadczanie z pszenicą krzaczastą, postarałem się o jeden kłosek pszenicy co na jednym żdźble ma 7 kłosów. Dla doświadczania wysiałem w polu — czy wyróżnie taka sama. Pewnie że nie zamierzamy uprawiać zaraz pszenicę krzaczastą. To na razie tylko doświadczanie, ale u nas w gromadzie można by spróbować do siania dobre odmiany zboża, żeby plony były dorodniejsze, żeby było więcej chleba i trzody i wszystkich produktów dla wszystkich na wsi jak i w mieście”.

Tak pisał w styczniu 1953 r. Stanisław Augustyniak.

Na wiosnę tego roku 22 gospodarzy, przeważnie członków kółka miczurinowskiego, siało jęczmień jary, którego kwalifikowane ziarno sprowadzone było z PGR specjalizującego się w hodowli ziarna siewnego. W 1954 roku — 40 gospodarzy (na 70 w gromadzie) ma siał żyto kwalifikowane. Jest to zasadniczy przełom. Dotąd rozwijająca się pomyślnie praca kółka miczurinowskiego skupiała się na małych doświadczaniach na polach.

Przed Smonowicami stanął zatem nowy problem — wspólne działania, wyjścia gospodarzy poza opłotki swego gospodarstwa.

„Z książki „Jak żyją ludzie radzieckiej Ukrainy” poznałem życie chłopów radzieckich i ich niezwykłe osiągnięcia. Pomyślałem tylko — 50 q pszenicy z ha! Dużo z książek gospodarczych zastosowałem u siebie, np. jeżeli idzie o podniesienie mierzności krów, choć mąż mi dokucza, że nie umiem tego osiągnąć co by można było. U nas w Polsce nie ma takich osiągnięć, bo ludzie pojedynczo nie mogą sobie dać rady” — oto sąd opinii Otylii Augustyniakowej.

Tak więc przed gospodarzami ze Smonowic stał zagadnienie wspólne działania w ramach gromady, wspólne podnoszenie indywidualnych gospodarstw. Taki sens ma zobowiązanie 1-Majowe, w którym wzięło udział 22 gospodarzy, a które w ogólnych cyfrach spowodowało wzrost trzody chlewnej o 30 sztuk, krów o 18. A to jest niemało, zwłaszcza że na 5-hektarowych gospodarstwach w Smonowicach, przy podmiokich łakach nienajlepiej jest z paszą.

Trzeci etap konkursu przebiegał w momencie kiedy w gromadzie z jednej strony nastąpiło załamanie pracy kulturalnej, z drugiej, doświadczanie kółka miczurinowskiego wskazywało na opłacalność gospodarki prowadzonej w oparciu o książkę rolniczą i rodziło się poczucie konieczności wspólnego działania gospodarzy. Aktyw kulturalny i gospodarzy poszedł naprzód, ale tylko częściowo potrafił poprawić z sobą gromadę. 40 gospodarzy, którzy w 54 roku siał będą ziarno kwalifikowane, to zdobywcę stu utraconych w porównaniu z drugim etapem konkursu czytelnictwa, to cofnięcie się, to dowód, że aktywni gromadzi nie umiał słusznie ocenić i wyzyskać szans, jakie dawało mu czytelnictwo. Ma więc przed sobą zadanie: odrobienia tego, co zostało zaniedbane w czasie trwania trzeciego etapu, rozszerzenia i wygrana mobilizacji gospodarzy gromady.

Na zebraniu 30 listopada gospodarze ze Smonowic dyskutowali o sprawach czytelnictwa i świetlicy. Zespoły czytelnictwa w IV etapie konkursu podjęli się prowadzić przodujący czytelnicy książki i przodujący gospodarze: Otylia Augustyniakowa, Kazimierz Pluta, Mieczysław Manterys, Michał Kulczycki. Ten sam, który popełnił lekkomyślność, który krętymi drogami szedł do zrozumienia wielu spraw, ale który zaczyna pojmować, że gospodarka i kultura — to są sprawy nierozłączne. To daje gwarancję ścisłego powiązania spraw kulturalnych i gospodarczych. Daje gwarancję, że prace kółka miczurinowskiego prowadzone nieco bezplanowo i bez perspektywy rozszerzenia ich na całą gromadę — nabiorą rozmachu. W ten sposób i dążenia młodzieży do stworzenia szerszego, lepszego życia w rodzinnej wsi znajdują realne oparcie.

Zofia Szprokoff

TEOFIL KOWALCZYK

TEATR I LUDZIE ŻERKOWA

ZERKÓW poznański posiada prawo miejskie, ale niewiele różni się od wsi. Głównym źródłem utrzymania ludności jest rolnictwo i ogrodnictwo. Samopomoc Chłopska skupia w swoich rękach handel i drobne przedsiębiorstwa rzemieślniczo - usługowe. Rozległe wokół pola i zupełny brak przemysłu podkreślają jeszcze bardziej wiejski charakter Żerkowa. Odległy od najbliższej stacji kolejowej o 6 km. a od Jarocina o 15, przypadł do ziemi wśród malowniczych wzgórz jak gdyby zakochany w romantycznej samotności.

Osamotnienie tego pół-miasteczka, pół-wsi nie jest przypadkowe. Kiedy rząd pruski budował kolej do Gniezna, trasę wytyczono zdaleka od Żerkowa. Pruscy junkrzy i przemysłowcy woleli go ominąć. Pamiętali ostre kopy żerkowskich chłopów, którzy w bitwie pod Miłosławiem w okresie powstania wielkopolskiego w roku 1848 mocno poszczerbili pruskie kompanie. Nawet król pruski, Fryderyk IV, który w Żerkowie posiadał wspaniały majątek osobisty, nie pokazał się w nim już do końca życia. Bitwa pod Miłosławiem zaciążyła na losach Żerkowa. Zepchnięto go na ubocze. Prusacy unikali tego „gniada os”.

Żerków jednak nadal walczył. W czasach Bismarcka oparł się zwycięsko polityce wynarodowienia. Miłosławskie kopy zamienili chłopcy naprzód na organizację tzw. Sokola, a gdy te zostały przez rząd pruski zakazane — na organizację śpiewacze i artystyczne. Na tym polu żerkowianie toczyli nieubłagana walkę z niemieckim imperializmem gospodarczym i politycznym. I walkę tę wygrali. Niemczyzna nie zakorzeniła się tu nigdy.

Tradycja chórów śpiewaczych i zespołów artystycznych kłó bardzo mocno wśród tutejszej ludności. Tu stawali pierwsze kroki na amatorskich deskach scenicznych Leon Wyrwicz. Typ sztuki estradowej cieszy się tu wielkim uznaniem. Gdy na zakończenie miesiaca przyjaźni polsko - radzieckiej w roku bieżącym nie dopisał żerkowianom „Artos”, zastąpiły go miejscowe dzieci szkolne, które z powodzeniem zapieły estradową lukę, wykonując szereg pieśni, recytacji i monologów.

*

Inż. Mieczysław Domagalski, liczący sobie dziś 73 lata, którego dziad brał udział w powstaniu wielkopolskim w okresie Wiosny Ludów, jest wrogiem imienia w bezczynnym osamotnieniu. Gospodaruje w Żerkowie na małym kawałku ziemi i znajduje czas na pracę społeczną. Był jednym z organizatorów „Sokola” i kółek śpiewaczo - artystycznych w Żerkowie w czasach Bismarcka i jego antypolskich wystąpień. Po zakończeniu drugiej wojny światowej wrócił do rodzinnego Żerkowa i do pracy, której poświęcał się przez wiele lat z czasów młodości — do pracy w zespołach artystycznych. Z tego to inicjatywy, a przy poparciu miejscowego Zarządu ZSCH powstaje w roku 1948 amatorski zespół teatralny. Opracował on „Zabusię” Zapolskiej i „Grzech” Żeromskiego. Opracował... ale jak? „Zabusię” zespół został dwukrotnie odznaczony na eliminacjach zespołów powiatowych i wojewódzkich w latach 1951 i 1952. „Grzech” Żeromskiego dotychczas cieszy się niesłabnącym powodzeniem. Grano go nie tylko wielokrotnie w Żerkowie, ale i w okolicznych, nieraz bardzo odległych miejscowościach, jak Orzechowo, Nowe Miasto i Reszewo. Chłopcy przychodzą na przedstawienia nawet z odległości 9 km. Sala nigdy nie świeci pustkami, widownia jest wrzuszona do głębi, nawet mężczyźni ocierają łzy.

Zespół ma w swoim dorobku nie tylko wymienionej sztuki, lecz również Fredry: „Nikt mnie nie zna”.

Na cześć II Zjazdu PZPR

ZOBOWIĄZANIA BIEGONIC

IX Plenum Komitetu Centralnego PZPR pobudziło nas do jeszcze większej pracy na odcinku gospodarczym i politycznym. Chcemy jeszcze pełniej niż dotychczas realizować słowa Radzieckiej partii: „Przeobrażać przyrodę”. Iwona Miczurina, który mówił: „Nie czekajmy na dary przyrody, lecz sami je od niej bierzmy”.

Nasze kół miczurinowskie, widząc wielką troskę naszej Partii o rozwój wsi i miast, o podniesienie stopy życiowej robotników i chłopów, co znalazło odbicie w obniżce cen — pragnie uczcić zobowiązaniami II Zjazd PZPR.

Naszym zadaniem jest jeszcze ściślej zjednoczyć się wokół naszej Partii, która pokazuje nam kierunek marszu ku świetlanej przyszłości.

Aby się zjednoczyć wokół naszej Partii i jej przewodniczącego tow. Bolesława Bierutamy stajemy do walki o lepszą wydajność z hektara i wzmocnienia hodowli.

Żeby podjąć ten zadanie musimy uźbroić się w oręż wiedzy rolniczej. Dlatego też zaczęliśmy od października prowadzić szkolenie rolnicze nie tylko miczurinowców, lecz i rolników nie należących do kół, a także rolników gromad sąsiednich, co poszerzy szerokiego kółka i spowoduje w sąsiednich gromadach założenie nowych kółek miczurinowskich.

Zdajemy sobie sprawę, że nasza praca i walka to:

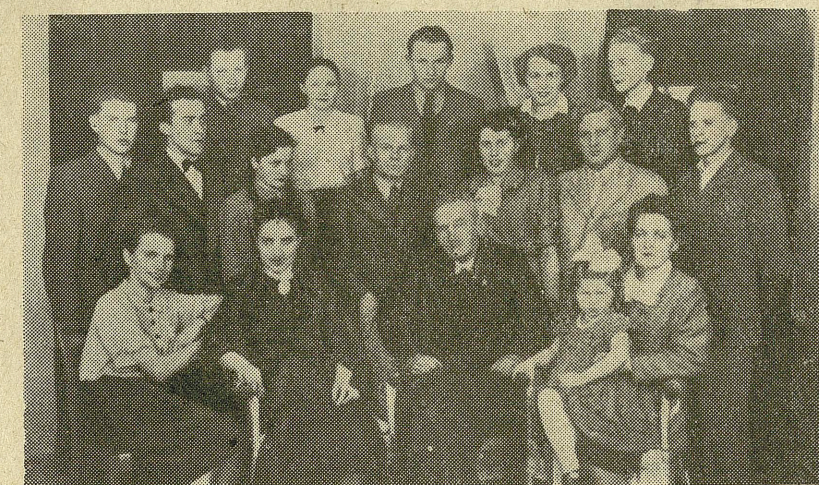
— uświadamianie najszerzych mas chłopskich;

— zwiększanie wydajności z ha;

— walka o przedterminowe wykonanie planu 6-letniego budowy socjalizmu.

My miczurinowcy z Biegonic, kierując się wskazaniami naszej Partii i jej Przewodniczącego tow. Bolesława Bierutamy, aby wypełnić lepiej swe zadania,

„Odludki i poeta” oraz „Gwałtu co się dzieje”. I na tym jeszcze nie koniec. Organizuje koncerty Filharmonii Poznańskiej. W roku bieżącym Filharmonia bawiła tu trzykrotnie. Żerków jest bodajże jedynym miasteczkiem w Polsce, który takie koncerty i tak często organizuje. Miasteczko-wieś bierze odwet za czasy pruskiego ucisku, nadrabia lata stracone pod rządami kapitalistów i sanatorów polskich. Wielkie miasta mają swoje sławne instytucje,



Zespół ochotniczy ZSCH Żerków z „Grzechu” Żeromskiego. Siedzą od lewej K. Prymierska (Parnen) T. Nawrocka (Anna) M. Domagalski (Kierownik) B. Warcheński (Aurelia) K. Cierpiszowa (Ogrodnik). Stoją od lewej J. Jędrak (Michał) Z. Boniewicz (adwokat) M. Mazurkiewicz (młodszy murarz) U. Radowska (Janina) J. Goździński (robotnik) J. Warcheński (dozorca) St. Gościński (starszy murarz) N. Maluchotowa (Wardachowa) G. (roboćnica) J. Rybacki — reżyser i dekorator (Jaskrowicz E. Kasprzak (cieśla) Konik (Józef).

którymi się szczycą: Poznań — Operę, Wrocław — Teatry Dramatyczne, Żerków posiada bardzo dobry zespół amatorski, który pełni tu taką rolę, jak Opera w Poznaniu. I tak powinno być. Mimo pozornego zastoju ekonomicznego — miasteczko urosło kulturalnie, poszerzyło swoje horyzonty, nawet objawowo jest inne. W miejscowej gospodzie nie spotkasz pijaków.

Zdawałoby się, że pozycja społeczna zespołu teatralnego wyznacza i jego położenie materialne. Tymczasem... Zespół przez długi czas nie posiadał miejsca na zebrania i próby, na rekwizyty teatralne i dekoracje sceniczne. Nie posiadał nawet budy na kółkach, jak to bywało za czasów Szekspira. Wynajął salę w prywatnym domu i utrzymuje ją własnym kosztem z dochodów z przedstawień, a nadto pomaga finansowo Komitetowi Rodzicielskiemu szkoły. Przed przedstawieniem członkowie zespołu wypożyczają krzesła dla widzów.

Nie ma w Żerkowie nawet świetlicy gminnej. Nie ma żadnej świetlicy. Bo nie ma na to budynku i miejsca. Kiedy przyjeżdża tu kino lub „Artos” wynajmują salę u ob. Burzynowskiej. Jeżeli nie ma kto postarać się o krzesła — widzowie stoją lub siadają na podłodze, albo zjawiają się z własnymi stołkami. Jednak przychodzą, jednak cieszą się z każdego nowego filmu, czy przedstawienia. Starania przewodniczącego prezydium GRN o przydzielenie na świetlicę jednego z baraków przy Ośrodku Sportów Wodnych w Żerkowie, spełzły na niczym, choć można było prosić prezydium uwzględnić bez szkody dla Ośrodka Sportowego, podległemu zarządowi Głównego Komitetu Wychowawia Fizycznego. Wszystkie podania i petycje utonęły w przepastnych szufladach biurkratów prezydium WRN w Poznaniu. A jednak zespół krzawi kulturę teatralną od blisko pięciu lat mimo złych warunków materialnych i braku opieki przede wszystkim ze strony PRN w Jarocinie.

*

Wysoka świadomość żerkowickiego chłopca nie jest oczywiście wyłączną zasługą inż. Domagalskiego, choć wkład jego w pracę kulturalną

jest niewątpliwie duży. Jednostka bez zespołu aktywnych ludzi niewiele znaczy. Odgrywają tu rolę i bohaterskie tradycje miejscowe, na których wychowują się pokolenia. Obok Domagalskiego wielkie zasługi na polu podnoszenia kultury gminy położył również przewodniczący prezydium GRN ob. Andrzejewski, aktywista i działacz społeczny, człowiek, który potrafi nie tylko opiekować się zespołem teatralnym, ale i — co jest jeszcze więk-

szą rzadkością — brać w nim czynny udział jako aktor. Posiada to swoją wymowę, podnosi członków zespołu w opinii publicznej i cementuje. Stwarza moralne, zaplecze dla działalności teatru amatorskiego bez którego to zaplecza teatr

Ale obok nich powstał w Żerkowie mocny aktyw pracy kulturalnej. Należą do niego: utalentowana recytatorka i odwroczylni ról kobiecych Teresa Nawrocka, reżyser zespołu, wzorujący się w grze na Solskim — Rybacki, ob. Cierpiszowa i Szymenderska, Radłowska, Konk, Warcheński i Malakówna oraz inni. Bonicki na każdą próbę dojeżdża rowerem bez względu na pogodę ze wsi odległej od Żerkowa o 18 km. Ilek w tym poświęcenia i zamiłowania skoro np. na opracowanie „Grzechu” zużyto 2.800 godzin! Bonicki jest prawdziwym przedmiotem pracy zespołu teatralnego w Żerkowie.

Kosynierzy spod Miłosława marzyli o wolności, o lepsze jutro bili się w dobie Bismarcka chłopcy z Żerkowa zgrupowani w kółkach śpiewaczych. Były to marzenia o dniu dzisiejszym. Te marzenia spełniły się. Wnukowie tamtych, dzisiejsi aktywiści pracy kulturalnej w Żerkowie również snują marzenia. Sztuka daje natchnienie. Żerków zepchnięty przed wiekiem na ubocze nie chce pozostać na uboczu: walczy o właściwą dla siebie rolę w nowym ustroju społecznym i w nowych warunkach. Przygotowuje się do tej roli pogłębiając swoją kulturę. Miastem w dosłownym znaczeniu pewnie już nie będzie, ale może być czymś innym. Gdy na zebraniu aktywistów zespołu teatralnego była mowa o budynku na gminną świetlicę i proponowano na ten cel jeden z domów zajętych przez G.S., ob. Andrzejewski powiedział:

— Nie. Trzeba biec się o jeden z baraków przy Ośrodku Sportów Wodnych. Budynek GS-u przydadzą się na inne cele. Myślimy o założeniu spółdzielni produkcyjnej. Do tej spółdzielni przyłączyłby się sąsiednie Żerniki z szerokimi polami, a może jeszcze jedna wieś. Centralą byłby Żerków-miasto. Wtedy zrobi się tu skąpo z budynkami gospodarzami. A teatr musimy mieć, nawet kino i klub.

W projektach, w marzeniach chłopów — spółdzielnia produkcyjna, ale jaka? Spółdzielnia-miasto. Ludzie Żerkowa marzą. Jeśli uda się pozyskać jedną lub dwie najbliższe wsie, centralnym ośrodkiem organizacyjnym stanie się Żerków i jako taki ściągnie ludność ze wsi w swoje mury — do miasteczka. Wsie zamieniają się w fermę rolniczą. Marzenie stanie się rzeczywistością.

*

Trzeba przyspieszyć realizację marzeń żerkowickich chłopów. Powinno się bezwzględnie powołać do życia gminną świetlicę. Przy udziale dotychczasowego aktywu rozwinię się ona w prawdziwą kuźnię nowej myśli i kultury. Są tu utalentowani i ofiarni ludzie do pracy. Brzmi to wszak paradoksalnie, że Żerków nie posiada żadnej świetlicy, a zespół teatralny mieści się w lokalu wynajętym w prywatnym budynku i zarabia nie tylko na swoje utrzymanie, ale pomaga finansowo Komitetowi Rodzicielskiemu przy miejscowej szkole podstawowej. Nie jest grzechem, że mu pomaga; nawet dobrze, że to czyni; ale przy tym wypacza swoje społeczne zadania, występując w charakterze półprywatnego przedsiębiorstwa rozrywkowego pod patronatem miejscowego Związku Sam. Chłopskiej. Nie może zresztą postępować inaczej z braku opieki ze strony Zarządu Powiatowego ZSCH. i Prezydium PRN w Jarocinie. Ludzie w Żerkowie zasłużyli na większą uwagę, troskę i pomoc — ze względu na osiągnięcia i przyszłość, do której zmierzają.

Kierownik świetlicy
i kół miczurinowskich
Eugeniusz Kondziatka
Biegonice, pow. Nowy Sącz

Teofil Kowalczyk

RYSZARD HŁADKO

Szczawnicki Janosik

W r. 1928 powstał na terenie Szczawnicy młody, góralski zespół. Powstał w tym okresie — gdy warunki dla takiego rodzaju przedsięwzięcia były szczególnie niepropyśne.

Posłuchajmy opowieści człowieka, który go stworzył — opowieści Michała Słowika.

— Pytacie, jak to się stało, że ja, prosty chłop-samouk wziąłem się za pisanie sztuk sceniczných? Co mnie pobudziło do ukazania na scenie bohatera Janosika?

mnie zespół, składający się z takich jak ja chłopów-samouków, miłośników książki i sceny. Przez bezinteresowną pracę i niekłamana iskrę talentu członkowie zespołu stali się pionierami plenińskiego folkloru, pokazując na scenie bohaterskie życie górali, piękno ich stroju, pieśni, tańca i gwary góralskiej.*

Tak wygląda początek opowieści Michała Słowika.

Każdy szanujący się gązda w okolicy z politowaniem przyjął do wiadomości, że szczawnicki gólas, 19-letni ceper, gospodar-

czynników rządowych przed wszelkim radykalizmem społecznym, skoro skonfiskowano utwor, który nader ostrożnie operował elementami krytyki społecznej. Było jednak w tym wiele racji. Ruiny czorsztyńskiego i niedzickiego zamku, na tle których rozwijała się akcja sztuki, żywo przywoływały na pamięć bohaterskie powstanie Kostki-Napierskiego.

Sztuka Słowika byłaby więc ostatecznie pogrzebana w starościn- skich aktach, gdyby nie interwen- cja głośnego pisarza Jana Wikto- ra. Zaopiekował się on zespołem i swoimi staraniami doprowadził do tego, że starostwo zezwoliło nieco swoje kryteria, pozwalając w końcu na wystawienie sztuki.

Prapremiera odbyła się — dopiero w 2 lata po napisaniu sztuki — w sali szczawnickiego uzdrowiska. „Janosik — Hetman Zbojnicki” grany był później przez wiele lat w Szczawnicy i okolicach, a po wojnie wystawiany był niemal po całym Podhalu, na scenach Nowego Targu i Nowego Sącza, zdobywając powszechne uznanie, nawet wśród najzawziętszych zwolenników góralskiego izolacjonizmu.

Zespół gra również inne sztuki swego autora, jak „Sobkowe kocha- nie” i jej obyczajowy odpowiednik „Sobkowe wesele”. Już po wojnie Słowik napisał dalszy ciąg „Janosika” oraz sztukę: „Harnaś Pieniński, czyli prawo pierwszej nocy”. W bieżącym roku zespół obchodzi 21 rocznicę swojego istnienia. Nawet okupacyjna przerwa, która wyrwała z zespołu szereg wartościowych jednostek, nie zdołała go rozbić i zalać. Mógł on bezpośrednio po wojnie wznowić swą działalność, wzmocony i uzupełniony młodymi, dobrze się zapowiadającymi siłami.

Cennym nabytkiem zespołu jest 29-letni stolarz Stanisław Niezgoda o pełnej wyrazu twarzy, orlim no- sie i potężnym głosie. Jeśli dodamy, że jest to potomek zbojnickiej rodziny Wiwów, nikogo nie zdziwi, że z ogromnym powodze- niem gra on rolę głównego bohatera zbojnickiego eposu.

Wśród młodzieży spotykamy i sta- rych znajomych. Maria Salamon — 72-letnia siwienka babcia, (zwana w zespole „ciocią”) nawet w naj- gorszą zawziętą drepce na każdą próbę.

— „Trzymam się z wami w kupie — mówi — bo wiem, że jak nie daj Boże umrę, wszyscy przyjdziecie na mój pogrzeb”. Patrząc na jej realistyczną, pełną bezpośredniości grę, przekonujemy się, że o jej związaniu z zespołem decydują przede wszystkim umiłowanie sceny i głębokie wzruszenie, jakie przeżywa „na każdym swym występie. Może nigdzie indziej losy odwar- zanych bohaterów nie sprężają się tak silnie z życiem ich odtwórców, jak właśnie w zespole szczawnickim.

To ludzie. A ich robota?

Pomówimy o tym w następnym artykule.

Ryszard Hladko

CZESŁAW SCHABOWSKI

PIERWSI SPRZYMIERZENCY

R ano gruchnęła po wsi pogło- ska, że Golińskiemu, który wczoraj wieczór przygoto- wał wóz z ziarnem do mły- na, skradł ktoś w nocy czte- ry worki żyta ogólnej wagi trzysta kg.

W południe znalezione wszystkie worki w piwnicy pod świetlicą. Piwnice nie mają jeszcze drzwi i łatwo było się do ich ciemności dostać.

Wieczorem podeszli do mnie zetem- powcy — Kowalczyk, Kosiński, Per- diki, Marchewka. „Kopa” rzekł: — Niech pan nie myśli, że ktoś z nas uwierzył, aby pan rąbnął te worki. Nie, tylko kuliak chce z pana zrobić złodzieja. Widzi pan? Musimy się ostro wziąć do roboty!

Odwiedził mnie również Barto- szewski i Sionkowski. — Trzeba uderzyć korespondencja- mi w pijaków! — rzekł Bartoszewski. — Kto wie, czy to nie wódka pomaga „figlarzom”. W piątek bądzcie na ze- braniu w Komitecie: przejdziemy się po przemyśle, że „Józef”.

Już słyszałem od chłopów, że 19 marca były popijawy w przemyśle. W GS-ie, u Golińskiego. Pili od rana nie bacząc na dyscyplinę pracy.

6.IV. Idąc na zebranie, które zwoła- no już na czwartek wstąpiłem po chleb do spółdzielni. Zastąpiłem tutaj podpitych: Rysia, przewodniczącego koła ZSL, Salejdę, kierownika CUSIK-u przemyśle oraz Goliń- skiego i Halaśkiewicza. Ledwo się zjawił przy ladzie, Salejda, olbrzym, lekko się zataczając pokazał na rząd butelek na półkach i rzekł do mnie z powołaniem: — No, a powiedz pan, że książkę można by za to kupić?

Czuając zaczepkę, starałem się opano- wać nerwy, które zaczynały mnie po- nosić. Puściłem więc mój uszu sło- wa pijaka. Ten zaś nie dając za wy- grana, rąbnął pięścią w kontuar i huknął: — A ja mówię, że ta cała wasza kultura nie warta!

To mnie uspokoiło. — A wy, co macie po swoim pra- dziadku? — zapytałem zienacka.

Ludzie trzymający butelki od pi- wa w rękach odczyli nas kole- m. Na moje odezwanie się przestano podciągać z flaszek, zatrzymawszy je w drodze do gęb, gdzieś w ok-olicy pepków Tytko Salejda pod- niósł swoją butelkę bliżej ust.

— No, no, panie chojrak! — mówię szczerze — niech pan nie zatyka ge-

TADEUSZ NOCÓN

W radzieckim klubie kolchozowym

R OZLEPIONE po wsi, a ręcznie wykonane afisze zapowiadają: dziś odczyt na temat wychowu ciela, a po odczycie film produk- cji polskiej pt. „Młodość Szopena”. Grupki kolchoźników i kolchożnic przystają przed afiszami i rozmawiają z ożywieniem.

O wyznaczonej godzinie sala od- czytowa klubu kolchozowego we wsi Mamoszki na Smoleńszczyźnie jest wypełniona. Na mównicę wcho- dzi młoda kobieta-agronom i zaczy- na mówić. Odczyt jest krótki, czas jego trwania nie przekracza 15 mi- nut. Potem padają pytania, zawią- zuje się dyskusja. Ukoronowaniem wieczoru jest piękny film.

W budynku klubu znajduje się biblioteka wiejska i czytelnia cza- sopism, ma również siedzibę redak- cja gazetki ściennej „Komunist”. Redakcja gazetki pracuje pod prze- wodnictwem kierownika miejscowej szkoły. Tu mieści się również sala koncertowa i teatralna.

W klubie pracują następujące ze- spoly: 1) lektorium, 2) zespół tea- tralny, 3) orkiestra wiejska, 4) chór. Kierownikiem klubu jest Paweł Szedenkow, który koordynuje pracę poszczególnych zespołów i nadaje jej kierunek polityczny.

Trzon pracowników lektorium stanowi inteligencja wiejska: nau- czycielstwo miejscowej szkoły, ag- ronom i zootechnik, lekarz. Lek- torium posiada bibliotekę rolniczą, prapremię czasopisma fachowe. Klub zaprasza także często do wy- głaszania odczytów znanych działa- czy polityczno - kulturalnych i ag- ronomów z rejonu i obwodu.

Lektorium jest fundamentem pra- cy klubu we wsi Mamoszki. Ist- nieje ścisła współpraca między lek- torium, a biblioteką wiejską. Kie- rownikiem biblioteki jest Zinajda Makarenkowa. Biblioteka liczy 5 000 książek. Zinajda pracuje również nie sama. Zorganizowała przy bi- bliotece aktywność czytelnicy, przede wszystkim z młodzieży komsomol- skiej. Każdy z członków aktywu ma oddanych sobie pod opiekę 10 kolchoźników, z którymi utrzymuje ścisły kontakt czytelniczy. Akty- wiści biblioteki czuwają również nad tym, aby czytelników zaintere- sować odczytami w lektorium i li- teraturą fachową. W bibliotece or- ganizuje się z czytelnikami:

- 1) wieczory pytań i odpowiedzi,
- 2) konkursy zespołowego głoś- nego czytania,
- 3) wieczory literackie,
- 4) konferencje czytelnicze.

Biblioteka prowadzi również spe- cjalną teczka z wycinkami gazet co- dziennych o przodujących doświad- czeniach w rolnictwie z całego Związku Radzieckiego. Ta teczka służy przede wszystkim jako ma- teriał dla lektorium, które przez od- powiednie prelekcje inspirowe po- dobne osiągnięcia miejscowych kol- choźników. W ten sposób każda zdobycz agrotechniczna rolnictwa radzieckiego jest podawana do wi- domości chłopów mamoszańskich i stanowi przedmiot ich rozważań.

Rzadko bywa, aby występ ze- spoly teatralnego, chóru czy orkie- stry nie łączył się z imprezą zorga- nizowaną przez lektorium czy bi- bliotekę.

Praca klubów w radzieckiej wsi nie ogranicza się wyłącznie do form wyżej wymienionych. Każde kie- rownictwo klubu stara się wypracować jakieś nowe rodzaje działal- ności.

Bardzo ciekawą i pożyteczną ino- wację wprowadził klub sowchozu „Kubań” w kraju krasnodarskim. Z początkiem bież. roku szkolnego zorganizował dla dzieci i rodziców sowchozu wspaniałą, masową wie- czornicę. Dzieci przybyły do klubu w kolumnach, z transparentami, na których wypisane były hasła o nau- cie i roli młodzieży w Kraju Rad. Przybyły również zespoły sportowe i artystyczne dzieci szkolnych. Za nimi — rodzice dzieci. Uczniów szkol- nych i rodziców powitali: kierow- niki klubu oraz przedstawiciele par- tii i związków zawodowych. Odbył się krótki wieczór na temat obowią- zków ucznia w szkole. Na wiecu tym przemawiali przedstawiciele partii i związków zawodowych o- raz uczniowie poszczególnych klas, którzy wobec przedstawicieli star- szego społeczeństwa i rodziców składali zobowiązania dobrych wy- ników w nauce. Po wiecu na miej- scowym stadionie sportowym prze- prowadzono zawody sportowe klub- ów dziecięcych. W sali koncerto- wej klubu sowchozu odbył się konkurs recytatorski dzieci z na- grodami, a następnie koncert ze- społów amatorskich tak dziecięcych jak i klubowych. Wystąpiły zespo- ly mandolinistów i chóry. Wieczo- rem miał miejsce odczyt kierowni- ka szkoły o zadaniach narodu ra- dzieckiego wytyczonych przez XIX Zjazd KPZR. Na zakończenie ob- chodzone uroczyste jubileusz za- służonych nauczycieli miejscowej szkoły podstawowej. Ta akcja klubu, spotkała się z serdecznym przy- jęciem rodziców, organizacji partyj- nych i związków zawodowych, a szczególnie podniosła wrazenie wy- wołała u dzieci szkolnych.

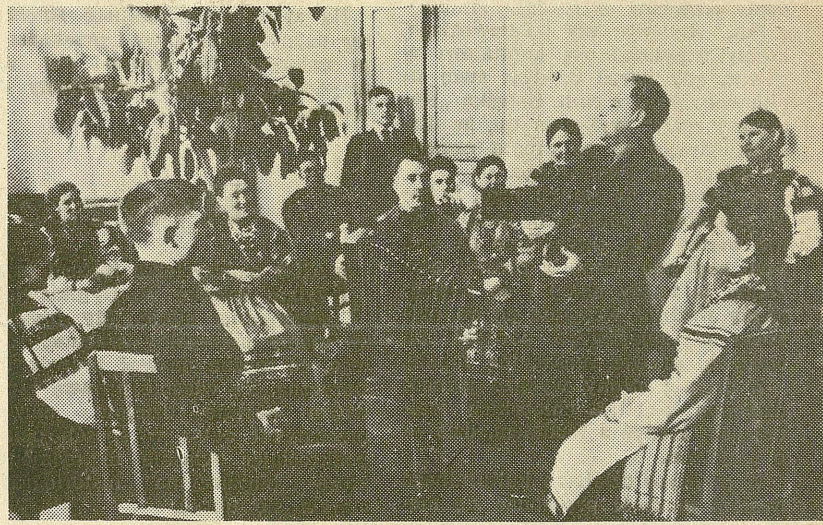
U nas niewiele świetlic prowa- dzi systematyczną pracę oświatową kulturalną. Wielu kierowników świetlic nie umie zorganizować tej pracy, wielu nie wie jak ta praca powinna wyglądać rady narodo- we słabo interesują się świetlicami gminnymi, a już prawie wcale świe- tlicami gromadzkimi. Biblioteki gminne czy gromadzkie nie konsu- ltuja się ze świetlicami i nie współ- pracują ze sobą. Często bywa i tak, że świetlica żyje osobno, zespół dramatyczny osobno, a chór oso- bo. Każdy chciałby być samodziel- nym gospodarzem na osobno wy- dzielonym podwórku. Przykład pracy klubów wiejskich na radziec- kiej wsi mówi o czym innym. Praca kulturalno - oświatowa na wsi winna być skoncentrowana i znaj- dować się pod czułą i ścisłą opieką organizacji partyjnych. Treba, aby organizacje partyjne tą pracą kie- rowały i nastawiały ją zgodnie z obecną polityką rządu i partii. A to również jest u nas jeszcze rzad- kością.

Przed naszymi świetlicami leży wiele pracy przede wszystkim na- tury organizacyjnej. Kierownicy świetlic muszą pogłębić swoją wie- dzę zawodową, wypracować meto- dy pracy, stworzyć wokół świetli- cy aktywność kulturalną, opracować plan roboty kulturalnej i przystą- pić do codziennej, nieustępliwiej pracy nad jej realizacją. Wzorem powinny być kluby i świetlice ra- dzieckiej wsi. Zespół twórczy w szerokich masach chłopskich istnie- je, talenty drzemają nierozbudzone. Dotychczas „rozbudzanie” to szło od góry od Ministerstwa Kultury i Sztuki, od Zarządu Głównego ZSCh poprzez organizowanie kon- kursów i festiwali. Były to jed- nak imprezy o krótkofalowym to- ku — choć bez wątpienia o ogrom- nym znaczeniu — bo brakowało codziennej szarej pracy tysięcy dro- bnych aktywistów i działaczy tere- nowych, którzy są i pozostaną siłą napędową ciągłego wzrostu, dro- dzami nieustannego rozwoju.

Nasza wies czeka na pełniejsze życie kulturalne.

Tadeusz Nocoń

Na podstawie czasopisma: Klub, Wolność i Bibliotekar



Z pamiętnika kierownika świetlicy (2)

Nie było mi łatwo. Nie sprzyjały mi ani warunki materialne (byłem synem chłopca, z biedą gospodarzą- jącego na 198-ra ziemi); na sprzy- jało mi też moje niskie wykształce- nie: rodziców stać było zaledwie na to, bym ukończył 4 oddziały ludo- wej szkoły. Ale książka od młodo- ci ciągnęła mnie, jak magnes. Zdo- bywałem nierzadko w ciężkich walkach okrucho wiedzy o literaturze; na górskich pastwiskach, w zimowe noce poznawałem najpiękniejsze dzieła naszych pisarzy. Pokochałem historię naszego narodu. Literatura, historia (zdobywana ukradkiem) chociaż w części zaspokajała mój głód wiedzy. Ale to nie wszystko.

O przeniesieniu przeze mnie ja- nos'kowej legendy na scenę zado- czydowało to, co siła rzeczy było wyższe i silniejsze ponad wszelkie przeszkody i niemoce: żarliwe, u- miłowanie przeze mnie rodzimego Podhala, jego folkloru, tradycji i le- gend. Od dziecka podcigały mnie góralskie pieśni i podania. Słucha- łem opowiadań starych gązów o zbojnikach, którzy chcieli „równać wiry z dolinami”, którzy walczyli z pańszczyzną przemocą. Słucha- łem baśni o „Jęczyhorze” — du- chu leśnym. Urzekło mnie wreszcie piękno janos'kowej legendy, legen- dy o bohaterskim mścicielu krzyw- dy ludu góralskiego.

Pokochałem tego wielkiego boha- tera, który według dawnych podań Dunajec potrafił przeskoczyć. Le- gendy te kojarzyły mi się z pięknem gór, wśród których żyłem. Piękno to czarem Pieniń i szmerem urwistej Dunajca jeszcze bardziej mnie oczarowało po przeczytaniu dzieł najwybitniejszych piewców naszego regionu: Orkana i Jana Wiktora.

Widziałem, jak po pierwszej woj- nie światowej góralski folklor za- czał zanikać, ustępując miejsca tandecie i cikiwej stylizacji. Mil- ky starodawne gadki i melodie; za- stąpiono je szlagierami w rodzaju: „jak sem pomasiuruję z tu hoki- ki sem popier...”. I, lub przechwal- kami o waleczności „kaiser regimen- tu”, w którym służyłem. Widział- łem piękno naszej podhalańskiej kultury, czułem jej ból serdeczny, gdy ginęła. Aby ją uratować, wzię- łem w swe niezgrabne ręce pióro. Chciałem zanotować, utrwalić pię- kno góralskiego folkloru i tradycji. Tak oto powstał „Janosik — he- tman Zbojnicki”.

Z początku szło mi ciężko. Nic się nie kleiło. Nadmiar złego ro- biłem mnóstwo błędów ortograficz- nych. Często przeżywałem okresy bolesnej rezygnacji. Rzucałem wte- dy pióro i papier i szedłem w Pie- niny.

Tam co krok spotykałem wytwor- nie odzianych kuracjuszy, zachwy- cających się pięknem Szczawnicy. Byli oni mimowolnym bodźcem dla mego słabnącego zapału. Zaprzagn- łem gorąco pokazać im, że piękno regionu pienińskiego — to nie ty- lko Dunajec, nie tylko parki i zdro- je, lecz przede wszystkim piękno góralskiej kultury ludowej, surowe życie i trudna walka góralskiego ludu, który przez wieki bronił swo- go prawa do życia.

Chciałem pomóc w tej walce i dlatego zacząłem pisać moją sztukę. Temat jej wiąże się ściśle z moimi rodzinnymi stronami. Pisałem o bo- haterskich czynach hetmana ucie- mionego ludu, pisałem o jego walecznych towarzyszach, walczących z przemocą i uciśnieniem możnych. Chciałem w mojej sztuce zamknąć bohaterskie dzieje góralszczyzny — i od szeregu lat pełni ona tę rolę z powodzeniem.

W pracy swojej znalazłem wier- nych towarzyszy. Skupił się wokół

dłoniach i stale powtarza jedno i to samo: — Widać, żeś pan korespon- dencje! Tak, jak pan zalał sadła za skórę Salejdzie — tylko korespondent potrafi! Nie mogę tylko pojąć, dla- czego pan z takimi talentami u nas się pęta? Pustkowie, brak wygód, wy- gnanie, męka z wodą, męka z wę- glem, męka z gotowaniem! I po co, po co? Ja tak... że szczerze serce! No, na języki — nikt już z panem nie zaczyna.

10.IV. Cóż z tego: ani Rys, ani Biń- czak, ani Tomeczyk, ani nikt z tutej- szych wpływowych nie pomaga w pracy i z frekwencją jest coraz go- rzej, a co tu mówić o zakładaniu ze- społów? Zresztą nie przychodzi do świetlicy ani Sionkowski, ani Barto- szewski. Temu ostatniemu się nie dziwie: do Chorzewa ma cztery kilo- metry i po ciemku boi się wracać, gdyż — powtarzając jego słowa — „można oberwać kamieniem od łobu- zów”.

12.IV. Nie przychodzi do świetlicy i tutejsi partyjni. A ile bym cieka- wych rzeczy mógł im przekazać! Zre- szta co się dzieje, skoro i te szkole- niem ideologicznym jest to samo: ma się ono odbywać w każdą niedzielę przed południem w lokalu Komitetu i też nie z tego. Przyjdą ja, Popczyk, Bartoszewski, Sionkowski i wszyscy. Nawet Popczyk, prowadzący szkole- nie, przepada najczęściej. Usprawi- ełliwiał się tym, że prowadził zespół teatralny i skoro tylko wystawi „Jo- wialskiego”, a „przeżać” zespół świetlicy — będzie miał więcej czasu i szkolenie podciągnie.

Agitator z Łodzi tow. Słezak dwoi się i troi wraz z Bartoszewskim, aby zmontować Komitet Założycielski, przepada na całe doby po gromadach w poszukiwaniu odpowiedniego ma- teriału ludzkiego i też do świetlicy zajrzyć nie ma czasu. Tak więc je- stem pozostawiony sam sobie, na po- moc kogokolwiek liczyć nie można.

Gorzej, iż rządzących świetlicą jest coraz więcej. Wpadł dziś instruktor z Zarządu Powiatowego ZMP i żądał, aby co najmniej raz w tygodniu od- bywały się pogadanki o ZMP!

Niech zostanie na wieczór, niech spróbuje! A dopiero na godzinę przed jego przyjazdem był delegat Towa- rzystwa Wiedzy Powszechnej i po- stulował, żeby naszą świetlicę natych- miast włączyć w ich akcję!

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

rys. Bimali Horska

Dyskusja nad książką



Sąd nad chłopami — scena na ganku pańskiego dworu.

Zamieszczone rysunki wykonał Tymoteusz Tichonuk — 45-letni rolnik spółdzielca ze wsi Kojły, pow. Hajnówka. Ludowy artysta przeczytał książkę Rymkiewicza „Rycerze i ciury” i swoimi ilustracjami włączył się do dyskusji nad powieścią.

Pomógł mi Rymkiewicz

LEKTURA książki Władysława Rymkiewicza przyniosła mi bardzo wiele korzyści. Jest to bowiem ten typ powieści historycznej, która dopomaga rozumieć współczesność. Poznałem w pierwszym rzędzie stosunki na feudalnej wsi; silniej niż dotąd zblizniłem się z tymi, którzy dla własnego zysku wyprzedawali Szwedom Polaków, urządzali huczne polowania, jak Jan Kazimierz, kiedy wróg pustoszył kraj. Mielimy takich w swej ojczyźnie do roku 1939. Także zdradzili kraj w chwili, kiedy należało organizować obronę. Mielimy zdrajców w rodzaju Mikołajczyka, Andersa czy Zaleskiego, którzy zaprzękali się kapitalowi w chwili, gdy naród zwigał swój umiłowany kraj z ruin. Książka „Rycerze i ciury” wykazała mi, że dzisiejsi zdrajcy to po prostu następcy szlachcica Pomaskiego.

Książka ta, na skutek tego, że każe pamiętać o zdrajcach, może spełniać wielką rolę, szczególnie na wsi. Jest napisana jasno i prosto; rozumiem ją każdy chłop i co więcej: każdy rozdział wciągnie go do dalszego czytania, gdyż powieść ma ciekawą, prawie sensacyjną fabułę. Z drugiej strony wykazuje jednosc działania pokoleń chłopów walczących: kiedyś z feudałem, dziś — o socjalizm.

W praktyce działacza kulturalnego miałem możność przekonać się nie raz, że świadomość chłopską najlepiej przekształcać przez czytelnictwo literatury pięknej. W mojej poprzedniej pracy nad współczesnym chłopem pomogła wiele książka Szolochowa pt.: „Zorany ugór”. Czytaliśmy tę książkę indywidualnie i zespołowo, dyskutowaliśmy w szkolnej świetlicy i po domach. A kiedy nie bardzo wychodziło, umieszciliśmy najlepsze wypowiedzi dyskusyjnych w gazecie szkolnej. Poskutkowało natychmiast. Przez książkę osiągnęliśmy daleko więcej, niż np. przez wygłaszanie referatów.

W przyszłej pracy zamierzam dokładnie wykorzystać powieść Wł. Rymkiewicza. Sądzę, że uda mi się zwaćać uczuciowo moich chłopów do czytelnictwa z losami jej bohaterów.

Przed wszystkim silnie podkreślę moment walki chłopskiej przeciwko panom. Chodzi o bardzo ważną sprawę — wyrobienia w czytelnikach uczucia dumy, że są z tych co nie od wczoraj przeciwko krzywdzie występowali.

Osobne i wcale nie uboczne zagadnienie to dyskusja, jakie narzuca się z powieści „Rycerze i ciury” — to sprawa przesądu. Można będzie wykazać, że przez ciemnotę i zabobony, które panowały na wsi, cierpiała i ginęła wielu niewinnych ludzi, jak np. Hanka Wójcówna. Zagadnienie krzywdy społecznej, postaram się zbliżyć do ludzi. Omówię więc zagadnienie: o ile zmieniły się pański wyzysk od czasów Michałka do dziecinnych lat moich chłopskich czytelników? Cenne w tej dyskusji będą zwłaszcza głosy starych chłopów.

Na zakończenie dyskusji zbierzemy najciekawsze głosy i prześlemy je autorowi. Na pewno mi się przydadzą. Najlepsze prześlemy do redakcji „Wsi”.

Przewiduję też pełne wykorzystanie powieści Rymkiewicza w pracy szkolnej. Autor bardzo interesująco pokazał szkolnictwo w Polsce feudalnej. Przede wszystkim jednak będzie mi chodzić o powiązanie nauczania historii z językiem polskim w klasie 7-mej. Tekst literacki uzupełni wykład. Wyobraźnię dzieci można będzie obudzić ilustracjami poszczególnych fragmentów książki.

Wszystkie te zebrane naprędce myśli podsunęła mi powieść Władysława Rymkiewicza. Myślę, że dojrzałym jest zjawisko, gdy książka pobudza do oświatowego działania na tychniastowego działacza. Świadczy to z pewnością o jej użyteczności społecznej.

Stanisław Kostecki

Rycerze czy ciury?

JAKO nauczycielka historii przekazywałam książkę W. Rymkiewicza szczególnie silnie. My historycy mamy szczególny szacunek dla tego, co można nazwać prawdą historyczną. Tę właśnie prawdę o pewnym okresie dziejów narodu przedstawił autor w sposób pełny, podkreślając właśnie te momenty, które burżuazyjna historiografia starała się ukryć.

Myślę, że książka ta powinna być upowszechniona wśród młodzieży, szczególnie licealnej. Młodzież uzyska dzięki niej jasny obraz stosunków społecznych okresu najazdu szwedzkiego i głębiej zrozumie podstawy ówczesnego ustroju. Nauczyciele powinni wykorzystać jej treść celem wzbogacenia swoich wykładów. Powieść ta z pewnością wywoła wiele pożytecznych dyskusji w szkole.

Autor pokazuje nam przede wszystkim budzenie się i wzrost świadomości społecznej i politycznej chłopów. I to w najtragiczniejszym momencie. Właśnie w okresie zagrożenia niepodległości chłop dokumentuje swoją przynależność do narodu. Obserwowałam uważnie widoczną w powieści wzrost świadomości chłopskiej. Nie kto inny, ale właśnie chłopci zasłużyli sobie na miano prawdziwych rycerzy, natomiast „rycerstwo” można z czystym sumieniem nazwać „ciurami” pilnującymi wąskich klasowych interesów. To nie „rycerstwo”, z-

skuje sympatię i podziw czytelnika, lecz właśnie pogardzone na kartach burżuazyjnego podręcznika historii — „ciury”. Wydaje mi się, że tytuł książki, jest jakby ironicznym pytaniem, na które czytelnik w treści książki znajduje odpowiedź.

My historycy zawsze mamy trudności z przedstawieniem moralno-obyczajowego życia feudalnej szlachty. Jakże nam pomoże książka Rymkiewicza! Widzimy w niej prawdziwe oblicze dworów magnackich, przekupstwo i zakłamanie, chęć błyszczenia i życia ponad stan.

Specjalne znaczenie wychowawcze książki polega nie tylko na pokazaniu prawdy historycznej, ale i na tym, że widzimy w niej pozytywnego bohatera. Jest nim Michałko, postać niezwykle sugestywna, w sposób typowy pokazująca wzrost świadomości narodowej chłopstwa polskiego. Nie można przecież zapominać, że chłopci po buntach i powstaniach o charakterze klasowym, umieli w chwili zagrożenia postawić na pierwszym miejscu interes ogólnonarodowy. Jednym z tych jest właśnie Michałko. Do niewątpliwych zasług autora należy m. in. fakt, że z krótkich i nierzadych dokumentów historycznych potrafił stworzyć ciekawego, ludzkiego bohatera powieści, który walczył, cierpił i kocha, i który nie z samych zalet się składa ale i wad.

Alfreda Pacześ



Wyrok i wzięcie. Rys. T. Tichonuk

ALICJA LISIECKA

Kochanowski żywy dla wsi

ROK 1953. Lato. W jednej z mawioleńskich wsi młodzieżowy zespół świetlicowy przygotowuje się do wielkiej ludowej uroczystości „Wianków”. Kierownik świetlicy — młody nauczyciel reżyseruje trudne widowisko oparte na tekście „Sobótka” Jana Kochanowskiego, tekście opracowanym specjalnie dla zespołów pieśni i tańca, a wydanym w „adaptacji” Danuty Kwapińskiej przez departament imprez artystycznych Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Kłopotów jest z tym widowiskiem sporo. Potrzebna „kapela” i zespół taneczny — i „miejsce” na polanie leśnej. O to ostatnie zresztą najłatwiej. Niedużą trudność stanowi również zdobycie pięknych, koniecznych regionalnych strojów dla członków zespołu. Gorzej wygląda sprawa reżyserii. Przecież to Kochanowski! A dziewczęta ani rusz nie chcą zrozumieć, że trzeba recytować wolno i wyraźnie: polykają ostatnie sylaby i chichoczą. Śpiew wychodzi dużo lepiej — ale najlepiej tańce.

„Gdy słońce Raka zagrzewa,
A słońce więcej nie świeci —
Sobótkę jako czas niesie
Zapalono w Czarnym Lesie...”

Już w pierwszych utworach Kochanowskiego formułą jest ideaowe podstawy późniejszego światopoglądu poety, światopoglądu antyklerykalnego, świeckiego, ukształtowanego w wirze walk religijnych reformacji i rozgrywek polityki dworskiej. Druga połowa XVI wieku przynosi zaostrezenie feudalnego konfliktu między chłopem i szlachcicem. Przynosi wzrost ucisku i wyzysku z jednej strony — i antyfeudalny protest postępowej części szlachty z Młodzieżniczym na czele — z drugiej.

Lata te są — jak pisze J. Ziomek — ostatnim aktem egzystencji pozytywnego bohatera szlacheckiego. Zastąpi go później nowym wybranym wzorem osobowym epoki radykalna literatura sowiżdzka.

Antagonizmy i rozgrywki tej największej „ery” postępowego piśmiennictwa szlacheckiego skupiła jak w soczewce twórczość typowego reprezentanta epoki — wielkiego humanisty i bojownika o interesy ogólnonarodowe, Jana Kochanowskiego.

Twórczość ta, nawiązująca do najlepszych tradycji kultury rodzimej i antycznej, czerpiąca z dorobku polskiej pieśni ludowej i odzwierciedlająca żywy bieg spraw, codzienną problematykę życia narodu — stanowi przezwycięzenie dworskich kanonów myślowych konwencjonalnej sielanki okresu kontrreformacji.

Punktem zwrotnym w twórczości Kochanowskiego jest rok 1574 (trudno zresztą dokładnie ustalić datę), w którym ukazuje się „Sobótka”. Zapowiadała ona niekiedy fraszki, zapowiadała ostatecznie „Przymowę do chłopstwa” czerpiącą z zasobów mowy potocznej i zawierającą elementy satyry o wyraźnym sprecyzowanym adresie politycznym:

„Piżme, wiodarzu!” — „Panie, jużem
podpił sobię!”

FRANCISZEK FREJ

W obronie uczennicy

JESTEM statym czytelnikiem „Wsi”. Tygodnik wasz czytałem także moi uczniowie. Problematyka poruszana w czasopiśmie pomaga nam w nauce i wychowaniu młodzieży, szczególnie — nauczycielom pracującym na wsi i w miastach powiatowych.

Zabieram głos w obronie uczennicy, córki chłopca z gminy Mokre, pow. Głubczyce, województwa opolskiego. Do napisania tych słów ośmieliła mnie notatka krytyczna o eliminacjach Konkursu Recytatorów na terenie Poznania, drukowana w 48 numerze „Wsi”.

Jestem miłośnikiem pięknego, żywego słowa. Kult dla piękna mowy i literatury czystej staram się rozbudzić w naszej młodzieży. Szkoła ogólnokształcąca w Głubczycach, w której pracuję, ma za sobą wcale pokaźne sukcesy na polu recytacji. Dość będzie wspomnieć, że sprowadzamy nieustannie najlepszych recytatorów polskich, dyskutujemy wspólnie nad sztuką pięknego, sugestywnego mówienia. W roku 1949 na konkursie stalinogrodzkim, poświęconym poezji Mickiewicza i Puszkina, uczennica nasza Kapturówna zdobyła 2-gie miejsce, wyprzedzając 168 współzawodników.

Również i do I-go Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorów przygotowaliśmy się sumiennie. Do eliminacji wojewódzkich doszły trzy nasze uczennice, do centralnych — jedna, Wawro Julia. Wyjazd do Warszawy, naszej kochanej stolicy, o której tyle w naszej szkole mówimy, był również dla młodzieży, szczególnie zaś dla młodej deklamatorki, jak i dla mnie — nauczyciela, wielkim przeżyciem. Uczestnicy finałów z Opolskiego jechali całą noc w zatłoczonym pociągu, następnie 13 godzin czekali na swoją kolej. Recytację rozpoczęły się 23.XI o godzinie 10-tej. Do 18.30 deklamowali wyłącznie przedstawiciele Warszawy i województwa.

którzy przybyli na salę niezmiennie, bez długiego i wyczerpującego czekania. Chodzi mi przede wszystkim o młodzież szkolną, która 12 godzin spędziła w podróży, 13-cie zaś wczekała na swój występ.



„Pił ty przedstę!” — „Dziękuję jako
panu tobie!”
Mało już nie mam za swe, a człowiek
By stówkiem nie wyleciał, co więc
„Pił ty, wiodarzu, i mów, co się będzie
Prosto, hajo za naszych ojców więc
„Tak-ci bywało, panie, piłaliśmy z sobą
Ani gardził pan kmółka swojego osobę
Dziś wszystko już inaczej; wszystko
Jako mówią: postawy dosyć, wiatku
mało!”

Dopiero jednak pieśń świętojańska o „Sobótce” stanowi pełne podsumowanie doświadczeń ludowej poezji, do której sięgał „gazda czarnolesski” — jak po młodopolsku nazywała Kochanowskiego historiografia burżuazyjna.

Starodawny słowiański obrzęd „Kupały” miał bogatą tradycję obyczajową w polskiej wsi. Radosny i świecki — wbrew woli Kościoła, próbującego „ureligijnąć” to pogańskie święto — pełen swobody i radości obchód dotrwał w swej dość pierwotnej postaci aż do naszych czasów. Obserwujący go z szlacheckiego dworku poeta czarnolesski dostrzegł, mimo sarkau ze strony kleru i magnatów, świeżą urodę.

„Śpiewają diabelskie pieśni, pługawie, tańczące” — pisał w 1595 roku Marcin z Urzędowa w „Herbarzu Polskim”. A oto Kochanowski:

„A teraz ten wieczór sławny
Świecimy jako zwyczaj dawny,
Niecąc ognie do światła,
Nie bez pieśni, nie bez grania!”

„Sobótka”, to ulubiony motyw twórczości polskich romantyków: Gościnieckiego, Kraszewskiego, Żmorskiego i Pola. Oni też zapoczątkowali przeszło wiekowy spór o „ludowość” pieśni o Sobótce Kochanowskiego. Ta zbieżność zainteresowań nie jest bynajmniej przypadkowa. Źródłem ludowości „Sobótki” Kochanowskiego, podobnie jak ludowości romantyków, były pieśni i „porzekadła” wsi polskiej.

*

Szczegółowym rozszyfrowaniem zbieżności motywów „Sobótki” Kochanowskiego z motywami pieśni ludowych zajmował się Al. Brückner, który ustalił w wielu wypad-

kach paralelnosc sformułowań i da-
leko idące podobieństwa.

Także Adalberg w swoich przys-
łowach cytując Kochanowskiego
jako przyjęte od poety porzekadło.

„A kiedy cię pocałuję,
Trzy dni w głębie cukru czuję (Panna XI)

W okolicach Poznania znany jest
inny przyspiew, zbliżony do dwu-
wiersza Kochanowskiego:

„Jakem jedną pocałował,
Trzy latam się obliżował”.

We wspólnym cyklu pieśni od-
tworza poeta w żywym, jednym je-
zyku troski i radości, miłości i nie-
nawis, obyczaj i atmosferę pol-
skiej wsi szesnastowiecznej. Rea-
lizm pieśni erotycznych, akcenty
krytyki i nienawis wobec „wy-
nalazców sroglej strzelby piorun-
owej”, sprawców wojen:

„Jakie ludzkie głupie sprawy
Szukać śmierci przez bój krwawy.

Bodaj wszystkich mąk skoszłował,
Kto naprzód wojsko szykował.”
Panna VIII)

Oto główne osiągnięcia „Sobótki”
Kochanowskiego.

Znajdujemy w niej zresztą także
echa osobistych przeżyć poety: po-
chwałę Doroty, włożoną w usta jed-
nej z dziewcząt oraz Horacjaną apolo-
gię — „Wsi spokojnej, wsi we-
solej” będącej dla Kochanowskiego
— podobnie jak dla mistrza antycz-
nej pejży — synonimem niezale-
żności od „bysznych możnowadów”,
„Sobótka” ukazuje Kochanowskie-
go, jako odkrywcę nie konwencjo-
nalnego, realistycznego krajoobrazu
wieskiego. Poeta szuka potwierdze-
nia swoich i „panien” stanów du-
szych w obrazie przyrody czy pracy.

Gorące dni nastawiają,
Suche... się padają
Płyny szwercz, co głosu staje
Gwałtownemu słońcu...”

Już mdle było szukać cienia
I ciekającego strumienia,
I pastersze chodzące za niem,
Budząc lasy swoim graniem”.

I w tym jednak, pełnym pogody
i afirmacji życia śpiewie brzmią
nuty pesymizmu i melancholii, nie
tylko wtedy, kiedy dziewczyna o-
płakuje straconego kochanka, Pan-
na IX mówi:

„Ja płaczę, a żal zakryty,
Mnoży we mnie płacz obfity.
Śpiewa więzien okowany,
Tając na czas wnetrzną ranę.

Śpiewa żęglarz, w cudze strony
Nagłym wiatrem zaniesiony;
I oracz ubogi śpiewa,
Choć od pracy aż odmiewa”.

*

Wycieczka kobiet wiejskich, prze-
bywająca w Warszawie, postanowi-
ła zobaczyć sztukę M. Maliszew-
skiego „Droga do Czarnolasu”. Na
scenie ukazał się Kochanowski ży-
wy. Kochanowski inny niż siedzący
pod lipą, zapatrzonny w dal — sym-
bol poety oderwanego od życia i
spraw swojej epoki. Być może były
to kobiety z tej samej wsi, którą po-
tem oglądali w sztuce wystawionej
przez świetlicowy zespół pieśni i
tańca. Jeżeli tak — na pewno Ko-
chanowski objawił im się po raz
wtóry. Tym razem — jako poeta
żywy dla wsi.

Alicja Lisiecka

LUDOMIR RUBACH

TRAKTORZYŚCI IDĄ DO KINA

Parterowe szaro - żółte miasteczko. Jasna plama na tle zielono szarych pól i roli przeciętnej smugą szczy, łączącej Jarosław z Przemyślem. Przy szosie u wylotu miasteczka, jeszcze jeden ostatni już żółty budynek, niepodobny do domów mieszkalnych. Coś jakby rezydencja strażacka albo łaznia miejska. To Dom Kultury.

Niedzielne wczesne popołudnie. Na placu przed Domem Kultury — gromada wyrostków, dziewcząt. Młodzi oglądają z zaciekawieniem kolorowe afisze. W Domu Kultury mieści się stałe kino wiejskie nr 7, które „gra” trzy razy w tygodniu: w piątki, soboty, niedziele. W pewnej chwili uwaga młodych radymnińskich kinomanów odrywa się od afiszy. — „Już idą!” — Istotnie przez mostek nad rzeczką rozgrządzającą ogródki Radymna od pól uprawnych, maszeruje kolumna... Wojsko? Junacy? Nie. — „To Ośrodek Szkoleniowy Kadr Mechanizacji Rolnictwa” — wyjaśnia mi jakiś młodziśneczek ze znaczkiem ZMP w klapie marynarki. — „Oni tak co niedzielę — na pierwszy seans”!

Maszerują chłopcy osiemnastoletni i dwudziestokilkuletni młodzi mężczyźni. Wraz z nimi kilku wykładowców. Jest również kierownik Ośrodka ob. Zygmunt Meczynski. Zawieram z nim znajomość, a za chętnym nieodczynnym widokiem razem ze słuchaczami Ośrodka wchodzi do kina.

Jest to placówka o zasięgu ogólnokrajowym. Istnieje od 1949 roku. Cztery razy do roku na okres czterech miesięcy przybywa do niej około czterystu młodych ludzi ze wsi, Północy, PGR-ów z całego kraju. Ośrodek szkoli i doszkala traktorzystów, kombajnów, monterów maszyn rolniczych. Szkolenie zawodowe połączone jest z pracą społeczną. Ośrodek nie tylko zasila kadrę mechanizacji rolnictwa, ale nadto kadrę tę przygotowuje do zadań, jakie stoją dziś przed każdym światłym obywatelem naszego kraju.

W pracy społecznej Ośrodek w możliwie szerokim zakresie, dostępnym w warunkach prowincjonalnego miasteczka, korzysta z pomocy kinematografii. Siła oddziaływania filmu na wyobraźnię i umysł młodzieży wiejskiej, zawarta w poglądowości filmowej dydaktyki, ułatwia bardzo wyjaśnienie słuchaczom nie tylko trudnych problemów naszej rzeczywistości, ale również — niejednej sprawy obyczajowej lub porzecznej sprawy zagadnień z zakresu współżycia w kolektywie czy obcowania z ludźmi.

Oto przykład. Na film o atamanie Parchomcie — przyszły słuchacz Ośrodka już właściwie przygotowany. Kierownik kina, który jest zarazem pracownikiem Ośrodka, — jako elektryk i hydraulik, zawsze informuje kierownictwo, jaki film będzie w następnym tygodniu wyświetlał. Jeden z nauczycieli przygotował się więc z góry do wykładu o Rewolucji Październikowej, o wojnie domowej, by przed wykładem słuchaczy Ośrodka na pokaz filmowy wyjaśnić im to zdarzenie z historii naszego filmu, wskazać jego kluczowe problemy, objaśnić rzeczywistą rolę osób działających. Nie jeden z tych opalonych, wesołych młodzieńców, nigdy przecież przed przybyciem do Radymna, nie był w kinie. W Ośrodku uczy ich jak mają patrzeć na filmy. Jest więc Ośrodek w Radymnie nie tylko szkołą nowego widza filmowego.

W czasie seansu — przerwy. Kino w Radymnie pracuje na aparacie waskotłowym. Korzystają z przerwy między wyświetlaniem poszczególnych części słuchaczy, by pytać nauczycieli, którzy chętnie wyjaśniają im trudne do samodzielnego rozwiązania „kwestie”. Pytania dotyczą zachowania się bohaterów filmu, ich obycia z ludźmi, społeczności i... historią. Nie są to uwagi blache. One to stanowią dowód tego „fermentu” przez jaki przechodzi umysł młodego wiejskiego widza w zetknięciu się ze sztuką filmową, odsłaniającą przed nim krajobraz życia ludzkiego poza opłotkami jego rodzinnej wsi.

A kiedy seans się skończył, „Ośrodek” wraca do siebie. I tu dopiero następuje druga część programu. W obszernej, dobrze zagospodarowanej świetlicy, gromadzą się widzowie kinowi na długotrwałą, gorącą, chwila, z pasją prowadzoną dyskusją na temat obejrzanego filmu. Teraz już „ciało pedagogiczne” raczej słucha, odpowiadając od czasu do czasu na postawione mu pytania. Teraz dyskutują młodzi traktorzyści. Znamienna cecha tej dyskusji stanowi powszechna tendencja do przenoszenia widzianych obrazów na to nasze obecne życie, aktualizowanie problematyki filmu po równaniach, zacierpieniach i zakresu spraw znanych tej dyskutującej młodzieży. Takie „przewartościowanie” problematyki filmu na rzecz lepszego zrozumienia przemian, przez jakie przechodzi nasza wieś i cały kraj, ci młodzi traktorzyści i kombajnery i ich najbliżsi, raz jeszcze potwierdzają doniosłą, wychowawczą rolę sztuki filmowej przede wszystkim — radzieckiej!

Jakże bardzo wymownie dyskusja w Ośrodku Szkolenia Kadr Mechanizacji Rolnictwa w Radymnie pozuca o potrzebie rozbudowy sieci stałych kin wiejskich, o zakładaniu ich tam, gdzie nie ma ich jeszcze wcale, jak np. w powiecie przeworskim, gdzie dotąd nie ma ani jednego kina wiejskiego. Pouczta nadto, że dla wsi pokazy filmowe muszą być zgola inaczej organizowane niż dla widza miejskiego. Ze nie wystarczy sprzedać bilety, wpuścić lu-

dzi na salę kinową i wyświetlać film; że trzeba widza wiejskiego do odbioru pokazu należycie przygotować — i to nie tylko przez wręczenie drukowanego programu, którego on zazwyczaj nie ma czasu przeczytać przed seansem, ale przez umiędzynienie skonstruowaną pogadankę.

Dyskusja w Ośrodku w Radymnie wskazuje na konieczność roztoczenia opieki nad kinami wiejskimi przez organizacje masowe, które by takie pogadanki, a po pokazach — dyskusje, organizowały, aby w pełni wykorzystana była ideowo-wychowawcza rola sztuki filmowej, aby nie zatrać się istotny sens akcji uruchomienia wielkim nakładem kosztów sieci kin wiejskich. Dyskusja w Radymnie raz jeszcze uświadomiła mi doniosłość zagadnienia właściwego doboru repertuaru kin wiejskich, który, jak dotąd, planowany jest szablonowo, bez wnikania ze strony administracji naszej kinematografii w kulturalne i społeczne potrzeby wsi i bez rozpatrywania zainteresowań widza wiejskiego.

Ośrodek posiada własny aparat waskotłowy. Często też dla potrzeb szkoleniowych wyświetlane są w świetlicy filmy popularno-światowe itp. Kierownictwo szkoły zwraca mi uwagę na niepomysłność pojawiania się w programach kin wiejskich filmów tego typu, które właśnie powinny być przede wszystkim wyświetlane, gdyż widzący przychodzi do kina nie tylko po przyjemność rozrywki, ale po naukę. Stosunek chłopów do kina jest taki sam, jak do książki. Chłop książki — żadnej — za rozrywkę nie uważa. Szuka w niej przeważnie wiedzy o życiu. Tego samego szuka w filmie. A tymczasem planujący w Warszawie programy dla kin wiejskich urzędnicy nie o tej właściwości widza wiejskiego nie wiedzą.

Ośrodek w Radymnie wobec małej ilości filmów popularno-światowych krajowej produkcji na tematy rolnicze za pośrednictwem Czechosłowackiego Biura Informacyjnego w Warszawie nawiązał kontakt z czechosłowacką kinematografią, która wypożyczyła mu już kilkakrotnie filmy instruktażowe rolnicze, a nawet rysunkowe bajki filmowe.

Jak z tego wynika — kierownictwo Ośrodka pracuje z rozmachem, wyznaczając filmowi poważną rolę w swej pracy. Pamiętać o tym powinni ludzie decydujący o sprawach upowszechniania filmów.

Do Radymna, jako do niezwykle interesującego terenu cennych spostrzeżeń, powinni zaglądać nie tylko dziennikarze i publicyści, ale również pracownicy kinematografii na szczeblu centralnym. Ich przecież też powinna obowiązywać akcja łączności miasta ze wsią.

Ludomir Rubach

JANUSZ SIECIARZ

Perspektywy trzeba zdobyć

Wśród wielu listów młodych ZMP-owców z kół wiejskich, jeden szczególnie mnie zainteresował. Wydał mi się, że została w nim pokazana — w obecnym stanie i możliwościach — perspektywa pracy młodzieży wiejskiej, jej entuzjazm i młodzieńczy zapał wszechstronnego rozwoju talentu i zainteresowań.

Alojzy Brzózowski, jak wielu kolegów z wszystkich wsi w Polsce, marzył o wyrwaniu się do pracy w wielkich ośrodkach przemysłowych, w wielkich miastach. Do organizacji ZMP wstąpił w swej wsi w 1951 r. Ale wtedy było mało aktywne, nie miał kto zająć się organizowaniem pracy. Brzózowski był pochłonięty pracą w szkole średniej gdzie bardzo dobrze się uczył, wiele pracował społecznie. W lipcu 1952 r. znalazł się, jako delegat, na Zlocie Młodych Przemysłowców w Warszawie. Ale wtedy o sprawy organizacji ZMP w Walczu nie zajął się.

Niestety, szczególnie trudne warunki materialne i domowe w rodzinie Brzózowskich uniemożliwiły „ucieczkę” Alojzego do miasta. Głuchoniemi rodzice, 6-ro rodzeństwa, które wymaga jeszcze opieki — to wszystko zadecydowało, że naukę trzeba było przerwać i zająć się gospodarstwem.

Wielu rówieśników Alojzego taki przymusowy powrót na wieś do plągu zniechęciłby do wszelkiej pracy społecznej. Ale Brzózowski, taki przedownik — ZMP-owiec; zapamiętał on dobrze sobie słowa przysięgi, złożone na ręce towa. Bieruta w dn. 22 lipca 1952 r. „...Słubujemy tobie ojczyźnie... umacniać władzę robotników i chłopów, walczyć z ciemnotą, zacofaniem i przesądami...”.

Toteż nie zatałam rąk, nie żalił się na los, który nie pozwolił mu, jak innym, szukać awansu w mieście na „szerokim świecie”. Zainteresował się kolem ZMP, świetlicą, pracą wśród młodzieży i chłopów. Wziął na swe barki szereg poważnych funkcji. Jest do dziś przewodniczącym kół ZMP, wiceprzewodniczącym LZS-u, kierownikiem świetlicy, członkiem zarządu gminnego ZMP.

Pewna propaganda w świetle prawdy

O tym, że pracownicy wydziału kultury przy przedkładaniu rad narodowych nie zawsze potrafia sprawować opiekę nad ludowymi artystami zgodnie z zaletami władzy ludowej, mówi historia ogólnopolskiego konkursu ogłoszonego przez Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej w Warszawie.

Zatrzymajmy swą uwagę na województwie lubelskim. — Po zjeździe warszawskim, kilku twórców ludowych z Lubelszczyzny przystąpiło do prac, opartych na wspólnej tematyce. Stwierdziliśmy to na wiosnę br. odwiedziwszy rzeźbiarza ludowego — Władysława Szkodzińskiego we wsi Liszna (gm. Stawowa, pow. Biała Podlaska), garncarza z Urzędowa i Łążka Ordynackiego. Należało więc oczekiwać ze strony Wydziału Kultury Prezydium WRN w Lublinie większego niż do tego czasu zainteresowania się twórczością ludową, przez pomoc materiałową i fachową twórców. Tymczasem 31 października br. — a więc w dniu w którym upłynął termin składania ekspozycji —

22 grudnia 1952 r. otrzymali oni instrukcje Ministerstwa Kultury i Sztuki. Było więc dużo czasu na zgromadzenie adresów artystów ludowych, na dotarcie do nich, na zachęcanie do wzięcia udziału w konkursie. Tymczasem 17 stycznia 1953 r., czyli dopiero po 26 dniach(!) wysłane zostały pisma do referentów kulturalno-światowych przy przedkładach PRN Czas upływał, a Powiatowe Rady Narodowe milczały.

7 lipca br. Wydział Kultury w Lublinie stwierdził, że do zamknięcia konkursu już niedaleko; po ośmiu więc miesiącach wysłano... po naglenie. Odpowiedział na nie zażalenie referent z Włodawy, zgłaszając rysunki Antoniny Wieliczko i Zdzisława Czyża. Wiele strudzonej akcją propagandową referent z Radymna doniósł, że... jego wysiłki nie daly rezultatu, ponieważ nie udało mu się nikogo zwerbować do konkursu. Wiadomo nam jednak, że we wsi Jabłoń, pow. radzyńskiego żyje tkaczka Maria Niedzielska, a we wsi Niewęgłosz — Józefa Jarbińska — i że obie zdobyły nagrody na wystawie warszawskiej.

Referent z Włodawy nie napisał o tym, że w Parczewie tką Paulina Palaszuk i pracuje znany specjalista od siwaków włodawskich — garncarz Józef Kopis. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Pawłowcu a w niej — twórców ludowych: Władysława Kopciwiewicza, Jana Stokiewskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie wspomnieli o Annie Osiej; z powiatu lubuskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkanaście tkaczek, zgłaszających lubuskie tkaniny. Artysty z Łążka Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowie, Żelazko i Kurzyńska nie zgłoszyli się, dowiedziawszy

o konkursie. Odpowiedź twierdząca krytyczaliby artystów ludowych Lubelszczyzny. O konkursie bowiem nie wiedział jeszcze na wiosnę br. ani Władysław Szkodziński, ani garncarz z Łążka; do września nie wysłali o nim ani mistrz wycinarki lubelskiej, sędziwy Ignacy Dobrzyński, ani młoda tkaczka z Zagrodo Lubartowskich — Anna Osiej (A przecież wszyscy oni otrzymali nagrody na Warszawskiej Wystawie Lubelskiej Sztuki Ludowej w 1949 roku).

Główny organizator Zarząd Wojewódzki ZSCH w Lublinie, współorganizatorzy: Zarząd Woj. ZMP, Zarząd Wojewódzki TPPR, najspokojniej przemalczyli sygnały Zarzą-

du Głównego ZSCH z Warszawy. To samo zrobił Wydział Kultury PWRN w Lublinie.

Oto jeden z najbardziej charakterystycznych przykładów: Ignacy Dobrzyński po otrzymaniu od przedstawicieli prasy informacji o konkursie — sam zwrócił się we wrześniu do Wydziału Kultury PWRN w Lublinie z prośbą o instrukcję, zgłaszając jednocześnie swój udział w wystawie sztuki ludowej na 10-lecie Polski Ludowej. Niedawno otrzymaliśmy od niego list z datą 31 października, informujący o braku odpowiedzi na jego zgłoszenie. Nie odnosił również skutku interwencje telefoniczne w Wydziale Kultury PWRN w Lublinie w tej sprawie, chociaż zawsze zapewniano, że wszystko będzie pomyślnie załatwione.

W rezultacie artysta ludowy tej miary, co Dobrzyński, nie wziął udziału w konkursie, gdyby nie Zarząd Główny ZSCH, który wysłał do niego swego przedstawiciela i dostarczył papieru na wycinanki. Tylko dzięki temu prace Dobrzyńskiego znajdują się w Warszawie.

Warto zaznaczyć, że w prowadzonej przez pracowników lubelskiego Wydziału Kultury PWRN „propagandzie” konkursu.

22 grudnia 1952 r. otrzymali oni instrukcje Ministerstwa Kultury i Sztuki. Było więc dużo czasu na zgromadzenie adresów artystów ludowych, na dotarcie do nich, na zachęcanie do wzięcia udziału w konkursie. Tymczasem 17 stycznia 1953 r., czyli dopiero po 26 dniach(!) wysłane zostały pisma do referentów kulturalno-światowych przy przedkładach PRN Czas upływał, a Powiatowe Rady Narodowe milczały.

7 lipca br. Wydział Kultury w Lublinie stwierdził, że do zamknięcia konkursu już niedaleko; po ośmiu więc miesiącach wysłano... po naglenie. Odpowiedział na nie zażalenie referent z Włodawy, zgłaszając rysunki Antoniny Wieliczko i Zdzisława Czyża. Wiele strudzonej akcją propagandową referent z Radymna doniósł, że... jego wysiłki nie daly rezultatu, ponieważ nie udało mu się nikogo zwerbować do konkursu. Wiadomo nam jednak, że we wsi Jabłoń, pow. radzyńskiego żyje tkaczka Maria Niedzielska, a we wsi Niewęgłosz — Józefa Jarbińska — i że obie zdobyły nagrody na wystawie warszawskiej.

Referent z Włodawy nie napisał o tym, że w Parczewie tką Paulina Palaszuk i pracuje znany specjalista od siwaków włodawskich — garncarz Józef Kopis. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Pawłowcu a w niej — twórców ludowych: Władysława Kopciwiewicza, Jana Stokiewskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie wspomnieli o Annie Osiej; z powiatu lubuskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkanaście tkaczek, zgłaszających lubuskie tkaniny. Artysty z Łążka Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowie, Żelazko i Kurzyńska nie zgłoszyli się, dowiedziawszy

o konkursie. Odpowiedź twierdząca krytyczaliby artystów ludowych Lubelszczyzny. O konkursie bowiem nie wiedział jeszcze na wiosnę br. ani Władysław Szkodziński, ani garncarz z Łążka; do września nie wysłali o nim ani mistrz wycinarki lubelskiej, sędziwy Ignacy Dobrzyński, ani młoda tkaczka z Zagrodo Lubartowskich — Anna Osiej (A przecież wszyscy oni otrzymali nagrody na Warszawskiej Wystawie Lubelskiej Sztuki Ludowej w 1949 roku).

Główny organizator Zarząd Wojewódzki ZSCH w Lublinie, współorganizatorzy: Zarząd Woj. ZMP, Zarząd Wojewódzki TPPR, najspokojniej przemalczyli sygnały Zarzą-

du Głównego ZSCH z Warszawy. To samo zrobił Wydział Kultury PWRN w Lublinie.

Oto jeden z najbardziej charakterystycznych przykładów: Ignacy Dobrzyński po otrzymaniu od przedstawicieli prasy informacji o konkursie — sam zwrócił się we wrześniu do Wydziału Kultury PWRN w Lublinie z prośbą o instrukcję, zgłaszając jednocześnie swój udział w wystawie sztuki ludowej na 10-lecie Polski Ludowej. Niedawno otrzymaliśmy od niego list z datą 31 października, informujący o braku odpowiedzi na jego zgłoszenie. Nie odnosił również skutku interwencje telefoniczne w Wydziale Kultury PWRN w Lublinie w tej sprawie, chociaż zawsze zapewniano, że wszystko będzie pomyślnie załatwione.

W rezultacie artysta ludowy tej miary, co Dobrzyński, nie wziął udziału w konkursie, gdyby nie Zarząd Główny ZSCH, który wysłał do niego swego przedstawiciela i dostarczył papieru na wycinanki. Tylko dzięki temu prace Dobrzyńskiego znajdują się w Warszawie.

Warto zaznaczyć, że w prowadzonej przez pracowników lubelskiego Wydziału Kultury PWRN „propagandzie” konkursu.

22 grudnia 1952 r. otrzymali oni instrukcje Ministerstwa Kultury i Sztuki. Było więc dużo czasu na zgromadzenie adresów artystów ludowych, na dotarcie do nich, na zachęcanie do wzięcia udziału w konkursie. Tymczasem 17 stycznia 1953 r., czyli dopiero po 26 dniach(!) wysłane zostały pisma do referentów kulturalno-światowych przy przedkładach PRN Czas upływał, a Powiatowe Rady Narodowe milczały.

7 lipca br. Wydział Kultury w Lublinie stwierdził, że do zamknięcia konkursu już niedaleko; po ośmiu więc miesiącach wysłano... po naglenie. Odpowiedział na nie zażalenie referent z Włodawy, zgłaszając rysunki Antoniny Wieliczko i Zdzisława Czyża. Wiele strudzonej akcją propagandową referent z Radymna doniósł, że... jego wysiłki nie daly rezultatu, ponieważ nie udało mu się nikogo zwerbować do konkursu. Wiadomo nam jednak, że we wsi Jabłoń, pow. radzyńskiego żyje tkaczka Maria Niedzielska, a we wsi Niewęgłosz — Józefa Jarbińska — i że obie zdobyły nagrody na wystawie warszawskiej.

Referent z Włodawy nie napisał o tym, że w Parczewie tką Paulina Palaszuk i pracuje znany specjalista od siwaków włodawskich — garncarz Józef Kopis. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Pawłowcu a w niej — twórców ludowych: Władysława Kopciwiewicza, Jana Stokiewskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie wspomnieli o Annie Osiej; z powiatu lubuskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkanaście tkaczek, zgłaszających lubuskie tkaniny. Artysty z Łążka Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowie, Żelazko i Kurzyńska nie zgłoszyli się, dowiedziawszy



się we wrześniu br., że konkurs ogłoszono już dawno, a nikt im o tym nie powiedział ani słowa.

Upłynęło znowu trzy miesiące. 6 października, — czyli prawie w przedmiotu zamknięcia konkursu, — Wydział Kultury zdobył się na drugie ponaglenie. Tym razem nie odpowiedział już żaden referat powiatowy.

Taka „działalność” przyniosła odpowiednie rezultaty: ekspozycje na konkurs dostarczyło jedynie dwóch garncarzy z Urzędowa: Jerzy Witek i Kaniowski. Garncarze z Łążka Ordynackiego nie zgłoszyli wystaw swych prac, bo zabrali się do nich dopiero we wrześniu. Inni do końca nie wiedzieli o konkursie.

Czyżby do kilku wybitniejszych twórców ludowych z Lubelszczyzny nie mogli dotrzeć przedstawiciele Zarządu Wojewódzkiego ZSCH, TPPR, ZMP czy Wydziału Kultury PWRN? Cóż myślał, pozostający w beztroskiej drzemce główny organizator konkursu — Zarząd Wojewódzki ZSCH? Czyżby czekał na współorganizatorów?

Trudno o bardziej jaskrawej przykład bezczynności ze strony Zarządu Wojewódzkiego ZSCH i wszystkich wymienionych współorganizatorów. Dzięki takiemu „urzędowaniu” lubelski twórca ludowy, mimo że kocha swoją sztukę, nie mógł jej społeczeństwu pokazać.

Państwo ludowe deklaruje twórczość ludową pełną pomoc. Intencją rządu jest roztoczenie jak najszerszej opieki nad artystami ludowymi. Tymczasem niektórzy prezesi i przewodniczący Zarządów Wojewódzkich ZSCH, ZMP, TPPR oraz podlegli im urzędnicy — obrać w praktyce tę opiekę w niuencję, ograniczając się do korzystania z mechanicznych, papierkowych form pomocy ze strony Wydziału Kultury PWRN.

Pozostawiony samemu sobie artysta ludowy z Lubelszczyzny nie będzie zdolny brać udziału w twórczym życiu narodu. A chodzi przecież o sztukę, którą się szcycimy. Historia o konkursie ZSCH jest alarmującym sygnałem. (B. L.)

ny trud. Teraz w tym zadaniu widzi perspektywę swego rozwoju i awansu na terenie własnej gromady, te perspektywy, których nie widział jeszcze rok temu.

W całym liście uderza wielka inicjatywa, duża indywidualność, poważne uzdolnienia i młodzieńczy zapał.

Brzózowski wcale nie zrezygnował z dalszego kształcenia się. Mimo pracy produkcyjnej i poważnych funkcji społecznych uczy się drogą korespondencyjną w liceum ogólnokształcącym. Wyniki w nauce osiąga dobre — i to również pomaga mu w prowadzeniu szkolenia i pracy społecznej.

Jako organizator interesuje się każdą dziedziną pracy organizacyjnej i świetlicowej. Prowadzi sekcję tańców, śpiewu masowego, robot świetlicowych; wspólnie z kolem dokonał remontu świetlicy. Mimo pełnego zadowolenia z pracy, widzi też niedociągnięcia i braki. Gmina Płachowy z odstawami zbóż znajduje się na 10-tym miejscu w powiecie. „Jak akcję skupu usprawnić?” — zastanawia się. — Przez szeroką agitację uświadamiającą. Trzeba zmobilizować cały aktyw partyjny i młodzieżowy, organizować zbiorowe odstawy, demaskować kulak i spekulanta przez gazetki ścienne, co jest w małym stopniu wykorzystywane”.

I tu Brzózowski wykazuje, że widzi sprawy nie zaciątkowo. Bo czym zadaniem do przeprowadzenia są te sprawy? Oczywiście KG Partii, GRN, ZSCH, ZSL itp. Tymczasem te instytucje nie doceniają młodzieży, nie interesują się jej pracą i życiem.

IX Plenum ukazało młodzieży wiejskiej szerokie perspektywy aktywnej pracy na wsi.

Przykład Brzózowskiego pokazał, że te perspektywy trzeba zdobywać, otwierać, stwarzać w dawnej gromadzie — przez aktywną stałą pracę.

Dłatego jego list bardzo mnie zainteresował; dlatego warto się nad nim zastanowić.

Janusz Sieciarz

LUDOWI TWÓRCY

Czy literacka kolektywna twórczość ludowa rozwija się w warunkach podniesienia ogólnego kultury i upowszechnienia czytelnictwa? Czy książka, adaptowana przez masę czytelników, nie wypiera samorodnego utworu literackiego?

Oto zagadnienia, dyskutowane na łamach prasy radzieckiej w związku ze sprawą folkloru. Znamy folklorysta, Mikołaj Leontiew, wystąpił z twierdzeniem, że folklor w związku Radzieckim obumiera. Szczególnie zanika kolektywna literacka twórczość ludowa. „Literaturna Gazeta” nie podziela pesymizmu autora artykułu dyskusyjnego „Natchnienie i Szamanizm”. W odpowiedzi pt. „O ludowej twórczości” odnajdujemy ciekawe uwagi i informacje, dotyczące dyskutowanej sprawy.

„Literaturna Gazeta” widzi dalszą żywotność kolektywnej twórczości ludowej, lecz nie zawęża zagadnienia, nie zacieśnia folkloru do formy literackiego tworzywa usłownego. Kolektywna twórczość ludowa przejawia się w reakcji mas ludowych na aktualne wydarzenia życia. Reakcja ta może mieć najrozmaitszy wyraz. Na przykład: samorodne stworzenie utworu lub cyklu utworów, adaptacja utworu indywidualnego w trakcie jego wykonywania, kolektywne opracowywanie postaci bohatera (np. bohaterów Wielkiej Wojny Narodowej), adaptacja i upowszechnienie tekstu indywidualnego literackiego.

„Literaturna Gazeta” przytacza liczne przykłady powstawania takiej twórczości. I tak np. w republikach wschodnich wiersze, pieśni powstają w trakcie pracy robotniczej, zatrudnionych przy tkaniu dywanów. W środkowej Rosji w kołchozach na tle akcji współzawodniczącej pracy rodzą się żartobliwe kuplety — czaszki. Tworzące kolektywne chorów używały i układają nadal szereg pieśni.

Forme twórczości ludowej przybiera „dialog” poety z narodem. Czytelnicy podziwiają ulubiony utwor, stają się dzieje bliskiego bohatera. Stymuluje ich wojennych pieśni o Katusiu wyprowadzających się z tekstu Iwaszkowskiego, napisanego jeszcze przed wojną. Jeszcze bardziej aktywnie uczestniczą w tworzeniu kina, bohatera poematu A. Twardowskiego, Torkina stał się własnością ogółu, ze szpalet książki zeszł do gazetki ściennej, na deski estrady: stworzył mnóstwo sobowrotów.

Masy ludowe stanowią krynicę talentów, lecz talent sam z trudem odnajduje właściwą drogę. Początkującym śpiewakowi czy tancerzowi trzeba pomóc. Jak ta sprawa wygląda w Związku Radzieckim?

Specjaliści muzycy wyjeżdżają do różnych rejonów ZSRR i przy pomocy miejscowych pracowników sztuki typują do nauki w konserwatorium, najbardziej utalentowaną i uzdolnioną młodzież. W roku bieżącym Konserwatorium Moskiewskie wysłało na poszukiwania głosów dwie oryginalne ekspedycje. Jedną z nich odwiedziła miasto nad Wołgą. Muzycznicy z Lubelszczyzny nie tylko wszystkie miasto, lecz także liczne wieś, leżące nad wielką rzeką rosyjską. Druga ekspedycja, ze znanym pedagogiem-wokalistą G. Ticiem na czele była na Kubaniu — w krajach krasnodarskich i stawropolskich.

Doswiadczenie lat ubiegłych dowiodło, że nie cała uzdolniona młodzież kształci się w szkołach muzycznych, mimo, że odpowiednio do stopnia wielu muzykomatorów znaleźć miejsce w konserwatorium, w sztuce. Pewnego razu członkowie jednej z naszych ekspedycji usłyszeli na koncercie amatorskim na stacji Tichoniewskiej (Kaukaz Północny) dobry, dziewczęcy bas, Robota. Młody Marat Rieztin śpiewał pieśni ludowe. Pedagogzy konserwatorium nakłonili go do poważnego zajęcia się śpiewem. I oto po przejściu specjalnego przygotowania i opanowania przedmiotów muzycznych studiów on obecnie z powodzeniem na drugim roku wokalnego wydziału konserwatorium. Na czwartym roku kształci się usłyszany przez ekspedycję w Tambowie robotnik Aleksander Krasnow, który dając silnego, gęstego basu. Podczas jednej z podróży brzydą usłyszała wczesnym rankiem cudowny dziewczęcy głos, śpiewający „Słowika” Alabiewa. Małenka śpiewaczka została skierowana do szkoły robotniczej, pracującą na budowie. Zabrała ją zaraz ze sobą do Moskwy. Obecnie Maria Szabienikowa kończy szkołę muzyczną i wstępuje w tym roku na pierwszy rok wydziału wokalnego konserwatorium.

Po dwóch latach przygotowań muzycznych teoretycznych i ogólnokształcących zaliczeni zostali obecnie do konserwatorium śpiewacy — odkryty w Krasnodarze ślusarz Włodimir Lelcu oraz robotnik Wiktor Chiznik, którego śpiew usłyszała komisja w Rostowie.

W roku bieżącym brzydą konserwatorium wysłali do szkół muzycznych i zespołów amatorskich, zakładających zespoły śpiewacze — odkryty w Krasnodarze ślusarz Włodimir Lelcu oraz robotnik Wiktor Chiznik, którego śpiew usłyszała komisja w Rostowie.

W Moskwie znajduje się jedyny na świecie Instytut kształcenia Pisarzy, założony przez Maksyma Gorkiego. W murach jego znajdowało się przeszło 400 pisarzy, poetów, dramaturgów, krytyków. Bardzo wielu wychowanków tego Instytutu uzyskało światową sławę, jak Simonow, Michalkow, Babajewski, Ażajew i inni.

Do Instytutu Literatury przyjmują się młodzieńcy i dziewczęta z ukończonym średnim wykształceniem, mających talent literacki w prozie, poezji, dramaturgii lub w krytyce.

W czasie pięcioletnich studiów w Instytucie studenci otrzymują głęboką i wielostronną wiedzę teoretyczną oraz gruntowne praktyczne przygotowanie do pracy na polu literatury. Tu młodzi literaci studiują teorię marksizmu-leninizmu, ekonomię polityczną, językoznawstwo, teorię literatury, historie stosunków międzynarodowych i historii nauki.

Wykłady w Instytucie Literatury najwybitniejsi specjaliści.

Obecnie w Instytucie Literatury studiuje około dwustu młodych poetów, powieściopisarzy, dramaturgów i krytyków. Jak i w każdej innej wyższej uczelni Związku Radzieckiego studiuje tu ludzie wielu narodowości.

Wśród wychowanków Instytutu są młodzi literaci z Chińskiej Republiki Ludowej, Koreańskiej Republiki Ludowej, demokratycznej, z europejskich krajów demokracji ludowej.

Wśród absolwentów Instytutu w ostatnich latach znajdują się: węgierski, polski, bułgarski poeta G. Dżagarow, znani poeci albańscy F. Giata i L. Silici.

W tym roku Instytut ukończył również przedstawicieli narodu buriackiego Cyden Zimbijew, autor (tę) wierszy „Dzięk ci, Moskwo” młodych poetów baszkirskich Gabuła Achmetzyna, Litwin Algis Czekuslis, Aleksy Lassarusa z Abchazji i inni.

Dyplom ukończenia Instytutu Literatury otrzymał młody dramaturg — Michał Kileczakow.

Przed Rewolucją Październikową naród chacki, którego przedstawicielem jest Kileczakow, nie miał swego piśmiennictwa. Ustrój radziecki stworzył temu utalentowanemu narodowi nieograniczone możliwości dla rozwoju kultury narodowej. Obecnie Chacki Obwód Autonomiczny, położony w dorzeczu górnego Jenisieja, posiada własne piśmiennictwo, własną literaturę narodową, własny teatr narodowy.

Do Instytutu przybywają ciągle dziesiątki młodzieńców i dziewcząt, przyszłych pisarzy, poetów i krytyków

Grzegorz Timofiejew

Wśród Korespondencji

Zadanie jest wspólne!

Powiat Brzozowski ma 7 gmin i 212 miejscowości. W konkursie czytelników otrzymał limit 2100 uczestników. Mnie z tej liczby przeznaczono 500, przydzielając siedem dużych, dość odległych od siebie gromad.

W pierwszej chwili mało miałem nadziei, by organizacje społeczne włączyły się do konkursu. Liczyłem jedynie na nauczycielstwo.

Komisja gminna konkursu składa się z dwudziestu osób: przewodniczącego, gminnej rady narodowej i mnie.

Po przesłaniu zaproszeń, na zebranie przybyli tylko kierownik szkoły podstawowej i prezes gminnego zarządu Samopomocy Chłopskiej. Poza nimi nikt, nie zgłosił się nawet kierownik świetlicy gminnej. Miejscowy komendant SP wypytany się wprawdzie kto zgłosił się do konkursu, nie mam jednak danych, by on sam jakieś grono czytelników zorganizował. Koło ZMP nie zareagowało na nasze wezwania. Również pozostałe organizacje społeczne.

Najbardziej dziwi mnie w tej akcji stanowisko ZNP. Miejscowi nauczyciele nie zostali zachęcani do pracy nad organizacją konkursu ani przez inspektora szkolny, ani przez „Głos Nauczycielski”. Instruktor gminny oświadczył dla dorosłych nie odwiedził w tym celu ani jednej szkoły i nie rozleżał nawet pism do kierowników.

Razem z przewodniczącym GRN podzielił limit naszej gminy na poszczególne gromady, wysyłając równocześnie pisma zachęcające do bibliotekarzy punktowych i kierowników szkół. Wspólnie z bibliotekarką powiatową odwiedziliśmy wszystkie punkty biblioteczne i szkoły w gminie Domaradz (pow. Brzozowski). Z jakim skutkiem?

Gromada Domaradz ma obecnie 260 konkursistów. Cała gmina 600. Plan wykonaliśmy z nadwyżką.

Zobowiązania przedzjazdowe gromady Dziemionna

W lesie polska przed II Zjazdem PZPR podjęła masowo zobowiązania podniesienia wydajności z ha, zwiększenia hodowli, uruchomienia rezerwy produkcyjnej. Aktywność świetlicy podjęła się szerzej rozwijać pracę kulturalną i artystyczną w świetlicach. Mieszkańcy (np. z Biegoni) chcą przed Zjazdem rozpowszechnić ruch młodzińców na cały powiat.

Idea Zjazdu stała się potężnym motorem rozwoju świadomości i inicjatyw mas pracujących chłopów. Świadczą o tym listy o zobowiązaniach. Przeczytaliśmy uważnie jeden z wielu mówiących o potrzebach terenu i inicjatywie aktywów.

Pisze nasz korespondent Stanisław Fasula z gminy Złotniki Kujawskie o zobowiązaniach gromady Dziemionna. Chłopi z tej gromady, dla uczczenia II Zjazdu PZPR zobowiązali się wykonać plan zboża w ramach obowiązkowych dostaw w 100 proc. bez zamienności, do 15 grudnia wykonać plan obkaszania wózków dostaw w żywcu, mleku i ziemiach w 100 proc. — i w tymże terminie uregulować podatek w 100 proc.

To jedna strona zobowiązań gromady Dziemionna gwarantująca pełne wykonanie wszystkich obowiązków obywatelskich. Gromada wykazuje w tym swe zrozumienie i poparcie dla polityki państwa i partii, dla uchwały IX Plenum. Jest to zobowiązanie tym ważniejsze, że cała gmina dotąd pozostawała w tyle ze skupem w powiecie inowrocławskim.

Druga strona zobowiązań gromady Dziemionna, konkretności i przystosowaniu do potrzeb terenowych planów wydobycia rezerwy produkcyjnych gospodarstw indywidualnych. „Chłopi gromady Dziemionna, mając na uwadze podniesienie na wyższy poziom gospodarki rolnej i hodowli — pisze Fasula — postanowili zmocnić bazę paszową przez przeorań 80 ha łąk, które dotychczas zle upra-

wiając do konkursu przeszło 700 osób. W III etapie konkursu zajęliśmy pierwsze miejsce w powiecie, trzecie w województwie. Nie pomogli nam w tym ani POM, ani GOM, ani Koło Gospodni, ani spółdzielnie produkcyjne. Nawet Gminna Spółdzielnia, zatrudniająca 80 pracowników zdołała włączyć do konkursu zaledwie 12-tu.

Tak się kształtuje na naszym terenie akcja IV etapu konkursu czytelniczego.

Powstaje pytanie: czy czytają ludzie książki i jakie: czy fachowo-rolnicze, czy powieści? W konkursie „Wiedzy i życia” otrzymałem drugą nagrodę za odpowiedź na podobne pytanie. Pracując wśród ludu wiejskiego przekonałem się, że aby zachęcić czytelnika wiejskiego do zainteresowania się książką, trzeba z nim rozmawiać i rozbudzać ciekawość dla jej treści. Największy skutek wywierała pouczenie po wykładach, jakie zaszły w danej gromadzie lub w danej zagrodzie.

Gdy jakaś okolica nawiedzona zostaje klęską nieurodzaju, albo chorobami lub pomorem zwierząt, jadę tam i udzielam ludziom porad, opierając je na wiedzy przyrodniczej oraz publikacjach naukowych i fachowych.

Jestem urodzony w tych stronach dzieckiem chłopów. Gorąco pragnę coś dla ludu zrobić, bywam na każdym odczucie rolniczym lub weterynaryjnym, by zdobyć więcej wiadomości.

W upowszechnianiu czytelnictwa wielkie znaczenie mają pogadanki na temat książek. Ludzie chętnie czytają, gdy im kto w ciekawej formie treść książki opowie.

Mam 73 lata. Brodę po podkarpach błotach kilometrów. Nagrodą za uciążliwą pracę są dla mnie moi czytelnicy. Jest ich coraz więcej. Coraz częściej biorą oni do ręki dobrą książkę.

Franciszek Goszyta
bibliotekarz gminny

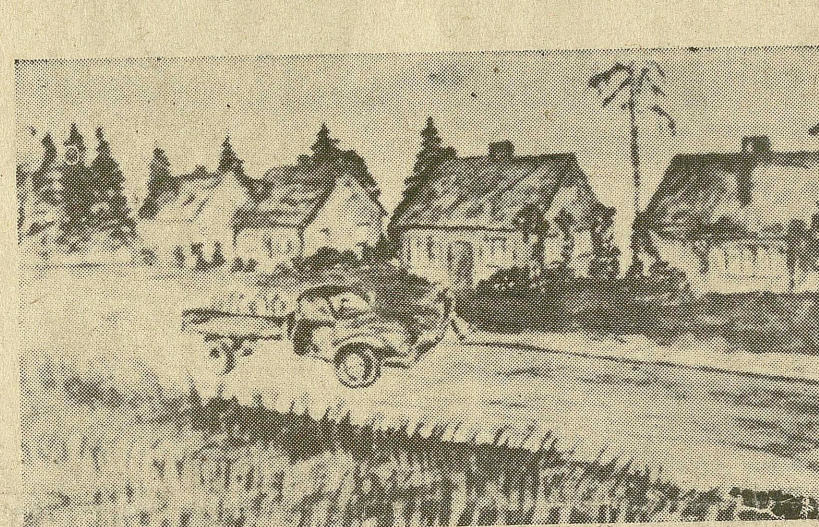
RYSUNKI TWÓRCÓW LUDOWYCH



Zacofana gospodarka w ustroju kapitalistycznym. Rysunek akwarelą Popławskiego Mikołaja, 16-letniego syna malarzowskiego chłopca z grom. Kojty, pow. Bielsk Podlaski.



Z cyklu: Budujemy socjalizm. — Rysunek wykonał Jan Jurusik.



Pierwsze zboże dla państwa. Rysował Gaworzyński Franciszek ze wsi Rzeczycy, pow. Rawa Mazowiecka. Foto A. Musiał

HORACY SAFRIN

Fraszki

Nagrodek spekulanta wiejskiego

Kulak, gdy na punkcie skupu odstawił swe żyto, strapił się, że moc plachu wśród złaren wykryto. „Nie wierzyta mi, ludzie? — wołał — Panie Chryste! Dyć to jasne jak słonko: pole mam piaszczyste...”

Kulak na punkcie skupu

Tu spoczywa spekulant. Gdyby z nagła ożył, pod tą płytą grobową ukryby wnet zboże.

Gazetka gminna

Pod zamkniętym okiem zarządu ..

W Wołecinie, gm. Kikół, pow. Lipno, powstała stosunkowo niedawno kółko ZMP. Fakt niewątpliwie radosny. Tym bardziej, że jak dotąd młodzież wykazywała wiele ruchliwości, energii, a działalność swoją wybiegała daleko poza granice gromady. Niestety, była to i energia i działalność wprawdzie burzliwa, ale i szkodziła.

One to sprawy, że bracia Zalewski — Witold i Stanisław, Bujanowscy — Kazimierz i Jan, Markowscy — Adam i Gabriel, Kuropatwa Tadeusz, czy Kaczmarek Ignacy, są dziś na ustach całej okolicy.

Warto by zapytać przy pomocy jakich środków uzyskali młodzi ludzie wyniki, od których aż się trzęsie ziemią i burzą się niebo? Przy pomocy kuchennych, podwórkowych i przydrożnych. Jakże bowiem nazywać inaczej niż skradziony macty, stary orczyk i ostry kamień?

Wołeciniacy chłopcy wstawili się przede wszystkim jako śpiewacy. Po litra wódki „na tepek” i można zaczynać serenady pod oknami. Każdy występ był wazwyczaj uroczystym szeregiem takich atrakcji jak wybijanie szyb, czy rzućcie kamieniami za spóźnionym przechodniem. Czasem wprowadzano odpowiedzialność. Kto dużej i bardziej zwalił kłat, ten wygrał. Rej wodził najczęściej Zalewski Witold.

Do najbardziej udanych imprez należy stanowczo wizyta członków kółka u wdo-

wy Heleny Brodowej, której syn pracuje w spółdzielni produkcyjnej. Dzielnym chorymstom nie udało się wprawdzie po bić wdowcy, choć mieli szczerą chęć, no, ale ostatecznie połamali plot, wybili szyby i naderwali mocno drzwi.

Byłoby to z wielkim pożytkiem dla całej okolicy, gdyby dokonali jakiegos podsumowania działalności chłujaków z Wołecina. I kto ich powinien ocenić, jeżeli nie Powiatowy Zarząd ZMP w Lipnie, pod którego szczytem zamkniętym okiem dzieje się takie cuda?

(Na podstawie listu mieszkanka grom. Kikół. Nazwisko znane Redakcji).

Klika z... Klikowa

Bywa czasem tak, że nazwa gromady świetnie idzie z nazwą powiatu, jak w niej panują. Weźmy dla przykładu Klików, leżący pod Zaganiem w woj. Zielona Góra.

Żyją tam sławy wczorowego, ofiarnego chłopca niejakiego Stanisława Seny. Jeden z tych, co to pierwszy kontraktują i odstawiają. Jest on — jak mówią gminne papiery — malarzownikiem na 3,5 ha. Albo groby śmieciarki na 10,7 ha, jak powiadają chłopcy.

Komu wierzyć? Gdyby np. zapytać ob. Michała Kiszczaka z Prezydium GRN, będzie się na Boga kłat, że Stanisław jest wprawdzie biedny, jak mysz kościelna, ale za to chodząca krynica ofiarności. Te zaklęcia wydają się nieco podejrzane, jeżeli przejrzyć akta stanu cywilnego. Okazuje się bowiem, że Kiszczak to szwagier Seny. Szwagier odesła nas zapewne do sołtysa Klikowa, żeby poświadczył ową malarzowskość Seny. I tutaj akta stanu cywilnego wykazują niewątpliwie powinowactwo z Kiszczakiem. Ale sołtyś z całą powagą powoła się na pomiary gruntów. Jakich dokonano niedawno w Klikowie. Kiedy zaś poprosimy o nazwisko delegata gromady przy pomiarach, wymienią Ignacego Seny. Zaden to krewny sołtysa, tyle może tylko, że jest rodzonym synem Stanisława, o którym było na początku.

A Ignacy to poeta, prawdziwy poeta! Trzymał niby taśmę w ręku, ale gwiazd

„Aktywista” — Wójcikiewicz

W roku 1951 pobit prezesa gromadzkiego Kola ZSCb ob. Chmieleckiego Ignacego. Procesował się następnie dzielnie w odwołanym Sądzie Grodzkim. A kiedy groziło mu coś trzy lata przymusiłowego odpoczynku za pobicie — przeprosił czule prezesa. Nie mógł się bowiem ani na chwilę oderwać od działalności społecznej. Taki już był.

Ubiegłego roku także nie przósnował. Pobit solidnie ob. Strzyka Ignacego, odpowiedzialnego za pracę GOM-owskiej młotarni. Poszło o drobiazg. Strzyk domagał się zapłaty za przeniesienie sterytu żyta.

A tego roku podjął próbę rozpędzenia całego gromadzkiego zebrania. Także nie bez przyczyny. Chłopi, głównie samo-

pomocowy, chcieli wyrazić swoje oburzenie z powodu „Blyskawicy”, którą zredagował „aktywista” — podkreślając przede wszystkim swoje zasługi i zasługi jeszcze kilku dobrych znajomych. Dziergował kulakami, Chmieleckiego opisał jako wroga klasowego, „reakcyjnego kreta”, o sobie zaś skromnie za-uwazył, że go gromada darzy szacunkiem.

Nie brak mu tedy — jak sami widzieli — rozmaitej roboty. Pracowity żył wot wiecie ob. Zygmunt Wójcikiewicz. A wiecież wam trzeba, że pełni on do tego wszystkiego obowiązki sołtysa gromady Granowiec, gm. Sośnice, pow. Ostrowo Wilk.

Warto chyba w tej sytuacji dodać, że zebranie gromadzkie odbyło się jednak. Co więcej — zapada uchwała, aby Wójcikiewicza uwolnić od nawału pracy. Nie dać mu więcej ani sołectwa, ani GOM-u, ani stanowiska w GS, czy ZSCb, ani żadnej innej rzeczy, która gromadka jest.

(Na podstawie listu zbiorowego członków kółka ZSCb z Granowca).

JAN WICHURA
(Na podstawie listu mieszkanka Klikowa. Nazwisko znane Redakcji).

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Regulacje Komitetu
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 8-00-81.
Adres redakcji: Warszawa, pl. Starynkiewicza nr 7.
Telefony: Red. Nacz. 8637-86. Redakcji 870-61, wewnętrzny 13, 42, 70.

Warunki prenumeraty:
mies. — 4,60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA”, Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. 4-B-22458

Kronika kulturalna

Do zobowiązań podejmowanych na Cześć II Zjazdu Partii dołączają się zobowiązania wiejskiego aktywu kulturalnego.

W woj. bydgoskim zobowiązania takie podjęły świetlice w gromadzie Orzechów, której kierownikiem jest ob. Wa. Wrzykowski. Świetlica ta zobowiązała się zorganizować 10 odczytów na tematy rolnicze w połączeniu z wykorzystaniem doświadczeń przodujących rolników i młodzińców; zorganizować wystawę broszur i wydawnictw rolniczych; przygotować trzy sztuki (nie do Festiwalu 10-lecia Polski Ludowej); zakupić z własnych funduszy i samemu uszyć potrzebne stroje, co miesiąc wydawać gazetkę ścienne.

Świetlica w gr. Barany. Jako zobowiązanie postawiła sobie zadanie: „Z książką do każdego gospodarza” wzywając do współzawodniczenia okoliczne gromady. Poza tym aktywnie zorganizowała kółko młodzińców w Nowej Wsi. Świetlica postanowiła urządzić dla dzieci zabawę choinkową, zakupić i uszyć stroje, zorganizować LZS.

Podobne zobowiązania podjęły świetlice w gromadzie Jania Góra, Nowa Wieś, gromada Skape i inne.

W wszystkich wiejskich ośrodkach kulturalnych naszego kraju, przy większych bibliotekach istnieją gabinety instrukcyjno-metodyczne dla bibliotekarzy. W gabinetach otrzymują wszechstronną pomoc pracownicy bibliotek. Takie gabinety czynny jest między innymi w Toruniu. Pracownicy bibliotek mogą zapoznać się z najnowszymi polskimi i radzieckimi metodami pracy bibliotecznej. Są tam wzorce katalogowania ksiąg, wzorce konkursów literackich, katalogi z hasłami, konkursy prasowe, pogadanki, wzorce dyskusyjnych planów czytania lektur, wzory urządzania wystaw tematycznych, ze specjalnym zastosowaniem ich w bibliotekach gminnych wzory gazetek ściennych, wzory projekty urządzania bibliotek gminnych. Korzystać można z materiałów doświadczeń z zakresu bibliografii, bibliotekarstwa, encyklopedii, słowników itd. Toruński gabinet instrukcyjno-metodyczny udziela pomocy — oprócz bibliotek miejskich — 187 bibliotekom gminnym i punktom gromadzkim. Za małe jest jednak zainteresowanie ośrodkami ze strony samych bibliotekarzy. A przecież ta placówka jest jeszcze jedną ze słabo wykorzystanych instytucji kulturalnych, służących do podnoszenia poziomu wiedzy u pracowników każdej biblioteki.

Pomorski Teatr Młodego Widza często wyjeżdża z występami do wielu gromad i gmin wiejskich. Mieszkańcy Bądkowa w powiecie aleksandrowskim nie raz oglądali sztuki z repertuaru zespołu Pomorskiego Teatru Młodego Widza. Każdorazowo przyjazd Teatru wywołuje entuzjazm. Podczas ostatniego występu zespół teatru odegrał sztukę Lutowskiego „Sprawa rodzinna”. Przedstawienie odbyło się pierwszą dyskusją artystów z widzami na temat sztuki i jej wykonania. Dyskusja potwierdziła trafność wyboru sztuki, poruszającej ważne problemy życia współczesnej rodziny polskiej.

W dyskusji mieszkańcy Bądkowa wyrazili uznanie i wdzięczność Zespołowi Pomorskiego Teatru Młodego Widza, który swoimi występami w terenie przyczynia się do podnoszenia poziomu kulturalnego wśród ludności wiejskiej. Występy teatru zawodowego są bodźcem i pomocą w pracy zespołów amatorskich.

Wynik pracy Pomorskiego Teatru Młodego Widza niech będą zachętą do trudnej pracy w terenie — dla innych teatrów.

W Międzygrodzie Pogłębiańskim Przyjaźni Polsko-Radzieckiej do wielu wsi dotarły wozy propagandowe SP. Ekipy artystyczne tych wozów pomogły w zorganizowaniu wielu zespołów artystycznych. Kółko TPR-ist w Międzygrodzie Kolbuszowa pracuje nadal jeden z takich wozów.

Obsługują już 4 gromady tego powiatu: Dziłkowice, Zielonka, Przeleś, Siedlanki. W skład ekipy wchodzi 4 osoby zespołu artystycznego z Jasia, który dla uczczenia II Zjazdu zobowiązał się dać bogaty repertuar pieśni, tańca, recytacji, skeczów itp.

Z zespołem „Jesiennego Przeglądu” z Kolbuszowej, ekipa dale szereg występów artystycznych, popularizując przodowników wsi kolbuszowskiej, plectuie opornych w obowiązkowych dostawach. W gromadzie Siedlanka solista tej ekipy, Władysław Wójcikiewicz, pamiętkowej serdecznie podziękowanie w imieniu całej gromady, której zespół przez swoje występy pomógł w wywiązaniu się z obowiązków wobec państwa i partii.

Przykład ten jest świadectwem potrzeby kontynuowania dobrze rozpoczętej pracy wózków SP w Międzygrodzie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

Na zakończenie „Jesiennego Przeglądu” Włoskich Zespołów Artystycznych” odbyła się 6 grudnia nagroda kierowników zespołów artystycznych woj. bydgoskiego. W przeddzień wzięło udział 37 zespołów chóralnych, 38 tanecznych i 9 kapeli. Najlepszemu zespołom chóralnym, tanecznym i kapeli ludowym wręczono proporce, chodnie, dyplomy pamiątkowe i premie pieniężne.

Proporzec przechodził otrzymał zespół taneczny z Nowej Wsi. Tę samą proporzec otrzymał zespół chóralny, taneczny i kapela z gromady Góra, pow. Żnin. Kierownik zespołu, ob. Gabriel Lesniewski sam zbiera i opracowuje pieśni i tańce regionu południowego. Bogaty repertuar, dobre opracowanie zespołu otrzymał proporzec przechodził i 1.200 zł na zakup potrzebnych sprzętu.

Premiami nagrodzono wielu kierowników zespołów, w tym także aktywistów wiejskich, wyróżniających się w pracy kulturalnej.

Nagrodzonym zespołom życzymy owocnej pracy w przygotowaniach do Festiwalu na 10-lecie Polski Ludowej.

Drugie miejsce w województwie w II etapie konkursu zajmują Poznań. W dniu 21 listopada woj. poznański osiągnęło zaplanowaną ilość uczestników tj. 47.800 osób. Już w dniu 24 listopada było 53.639 czytelników objętych konkursem.

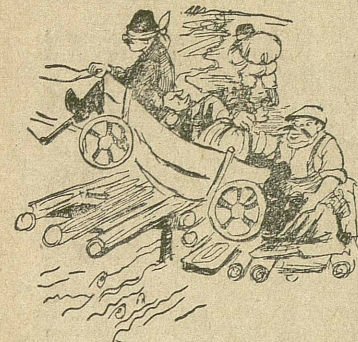
Powiatowa komisja konkursowa w dn. 1 grudnia wybrała zespół zobowiązania nie powzięte na cześć II Zjazdu. Na zaplanowaną liczbę 10.000 uczestników uzyskała 10.011, w tym 252 zespoły czytelnice.

W organizacji konkursu w Poznaniu bierze żywy udział aktywista ZSCb, Helena Kryś — prezes kółka gromadzkiego ZSCb i kier. świetlicy gromadzkiej w Izbach pomyśleń nie realnie wysunęła przez siebie hasło: „Każdy w naszej gromadzie czyta”. Na 54 gospodarstwa zwerbowano 42 czytelników.

Władysław Wójcikiewicz — kierownik pow. Nowy Tomisz, organizuje wieczory głośnego czytania, w gazetkach umieszcza artykuły o IV etapie konkursu i wykazy ciekawych książek, oraz przeprowadza rozmowy indywidualne.

W ten sposób zwerbował ponad 147 osób, w tym 10 zespołów z 100 czytelnikami.

KAM.



rys. Bimali Horską

JAN HUSZCZA

Dostawca i mostek

PRZED wsią Wesoła Góra znajduje się spróchniały, pozabawiony kilku bierwin, mostek. Mostek ten nieraz już był punktem ożywionej dyskusji na posiedzeniach gminnej rady.

Domagano się, żeby go zreperować. Jednak dość upływały dni, a mostek nie był naprawiany. Biegus, zawsze z dużym poświęceniem, nie szczędząc garda, bronił mostka przed reperacją. Udawał, że są ważniejsze potrzeby, czyli, że mostek jeszcze i samych radnych przeżyje i że w ostatecznym wypadku niech się tym raczej zajmie odcioły solty.

Ten serdeczny, pełen głębokiego przywiązania, stosunek do dziurawego mostu, jak do jakiegos historycznego zabytku w Warszawie czy w Gdańsku, tłumaczy chyba fakt, iż radny Biegus jest jednocześnie dostawcą sklepów gminnej Samopomocy. Mostek usprawiedliwia wiele przykrych wypadków, jakie zdarzają się dostawcy w czasie pełnienia odpowiedzialnych obowiązków.

Ot, uległa stłuczeniu pewna ilość butelek z wódką (ciekawe, że butelki się te największe, litrowe)... Podpisano akt, że to z powodu ustrząsania na fatalnym moście: podskoczył, obywatelu, wóz i zlamala się oś!

Kiedy indziej śnięte karpie, wiezione na światła w beczce z powiatu, uciekły do wody pod mostek, gdzie podobno ożyły i po dziś dzień szczęśliwie się rozmnażają, choć żadnemu z upartych wędzkarzy nie udało się ani jednego wyciągnąć na haczyku...

A wszystkich przez ten nieszczęsny most i przez rzekomo niechlujne opakowanie i nieszczęsne korkowanie.

Ostatnio jednak — mimo protestu Biegusa — zabrano się zupełnie poważnie do reperatury mostu. Już zatwierdzono kosztorys i wysłano zamówienie na bierwin.

W związku z tym, jak stychać, radny Biegus chce ustąpić z zajmowanego stanowiska, ponieważ obowiązek dostawcy stracił dla niego — jak to szeroko tłumaczy — urok romantycznej przygody, pełnej niespodzianek dla... gminnej Samopomocy!

Jeśli naprawdę chce ustąpić, to należy na to się zgodzić.

Jeżeli zaś to tylko pogłoski, to należy spowodować, aby stały się rzeczywistością.

Głowa

O poniedziałek, a czasem nawet i częściej — przeważnie po jakimś święcie — narzekali pęgerowscy koniuchi, Wiśniewski, na ból głowy.

— Aż dudni, psiamaci! Jakby bronka kto po niej jeździł!... Współczująca żona pochylała się nad nim i radziła:

— Poszedł do doktora... Niech cię obejrzy...

— Oglądał przecie! Oglądał, prozki zapisał, a pomocy żadnej... Co tu doktor, kiedy taka siepiaka...

Ale w przedostatni poniedziałek nie było słońca, od rana po niebie walczyły się ciężkie chmury, spadło nawet kilka kropel deszczu, a mimo to — głowa bolała...

Do stajni przyszła żona:

— Boli?

— Oj, boli! Jakby kto w trzy bronki i z siewnikiem po niej jeździł...

— A ja ci radzę, żebyś znowu poszedł do doktora...

Lekarz był niedaleko. Z Gajowców do miejscowości były niecałe dwa kilometry. Przeklinając głowę, powlókł się Wiśniewski do lekarza.

— Co nowego?... Znowu z głową?

— zapytał doktor w białym kitlu, poznając niemal od razu swego niedawnego pacjenta. I zabrał się do szczegółowych oględzin. Pytał, badał, opukiwał, zastanawiał się... Wreszcie, jakby sobie coś przypominając, niespodzianie zapytał:

— A nie piliście przypadkiem wczoraj wódki?

— Jakże to?! Piłem! Przecie była niedziela. To najpierw przyszedł Jadwisław, zaraz potem był Szymanek... Jakże, niedziela przecie!

— To chyba teraz wiecie, od czego boli głowa... — powiedział lekarz. — I żadne proszki tu nie pomogą...

Wiśniewski nie odezwał się, tylko markotnie podrapał się w tę swoją utrapioną głowę. Dopiero, gdy wychodził, mruknął:

A ja ciagam myślałem, że to o śnieki...

W najbliższym poniedziałek już Wiśniewskiego głowa nie bolała, choć dzień był słoneczny, a od śniekioty o nowe mielizny na stawie wystąpiły.

Jan Huszcza



